Nr 6 (1569). Warszawa, 11 lutego 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Zajścia na Wszechnicy Jagiellońskiej.

Wrażenia korespondenta „Prawdy".

Opanować Uniwersytet, hasło, rzucone przez wodza chrześcijańskiej demokracji Luegera znalazło silny oddźwięk w murach Wszechnicy Jagiellońskiej. Profesorowie jej są to przeważnie skostniali konserwatyści, z obawą patrzący na demokratyzację kraju, bojownicy o hasła wsteczne, *morituri*, pragnący oddalić kryzys agonji wpływów politycznych i społecznych. Stosunek ich do młodzieży był zawsze wyniosły, oziębły. Zmienił się jednak na gorsze, gdy wskutek ostatnich wypadków u nas w kraju zaczęła napływać w większej liczbie młodzież z Królestwa, przynosząc z soba życie i powiew nowych prądów. I aczkolwiek pomiędzy ciałem profesorskim a młodzieżą i przedtym nie było harmonji, dziś otworzyła się przepaść w pojęciach i hasłach. Od paru lat trwa i pogłębia się antagonizm ciała profesorskiego i młodzieży z Królestwa, miarkowany jedynie przez opinję społeczną, antagonizm, mający na celu usunąć naszej młodzieży ostatnią deskę ratunku, zamykając przed nią podwoje polskich wszechnic. Szukano tylko pretekstu, szukano tylko zdarzenia, któreby mogło ów czyn usprawiedliwić wobec opinji społecznej. Nareszcie znaleziono ten pretekst w sprawie ks. Zimmermanna.

Ks. Zimmermann, arystokrata po kądzieli, protegowany przez kumoszki z krakowskiego beau mond'u i ministra oświaty Stürgha, jest, jak głosi nawet opinja konserwatystów, zerem moralnym i naukowym i nikt by o niego kopji nie kruszył, gdyby nie grały roli względy, wyżej wykazane.

„Mamy was dosyć!" ten okrzyk szczerości, który niebacznie wyrwał się seniorowi Godlewskiemu, profesorowi tejże Wszechnicy, dostatecznie charakteryzuje stosunek Senatu do młodzieży.

Ks. Zimmermann objął katedrę socjologji na wydziale teologicznym i nikt przeciw temu nie oponował. Inny jednak charakter przybrała sprawa, gdy ks. Zimmermann nie zadawalając się oświecaniem teologów, pragnął wpływ swój rozszerzyć i ogłosił publiczne wykłady dla wszystkich słuchaczy Uniwersytetu. Wśród młodzieży zawrzało i na zebraniu wszechakademickim (gdzie brały udział przez swych delegatów i stowarzyszenia o charakterze katolickim: „Polonja" i „Sodalicja"), uchwalono zaprotestować przeciw tej uzurpacji Uniwersytetu. Klerykaliści sprowokowali jednak młodzież, zebraną dla odczytania protestu, okrzykami, wznoszonymi na cześć ks. Zimmermanna wywołali ogólną awanturę, w której obydwie strony wzięły czynny udział. Senat Uniwersytecki a raczej jego kierownicy, prof. Czerkaski, Godlewski, Krzyżanowski (rektor Witkowski jest piłką w rękach tych panów), pragnąc nadać tej sprawie większy rozgłos i rozgoryczyć młodzież, oddali tę sprawę c.-k. prokuratorji. Młodzież, oburzona do głębi zachowaniem się c.-k. profesorów, zwołała wiec nielegalny, by napiętnować postępowanie Senatu. Senat wtedy zwrócił się do policji interwencję. Radca sądowy p. Fedorowicz okazał jednak wiele więcej taktu, niż prześwietni mężowie wiedzy i zażądał piśmiennego wezwania. Senat nie chciał się kompromitować w oczach opinji i widząc, że jego mocne zamiary mogą być ujawnione, dał spokój. Wiec się odbył. Zażądano na nim wycofania sprawy z prokuratorji. Gdy jednak uchwały młodzieży nie odniosły żadnego skutku, postanowiono na znak protestu zerwać następny wykład ks. Zimmermanna.

I w sali, gdzie miał się odbywać wykład ks. Zimmermanna, zwołano wiec. Senat wysłał rektora Witkowskiego, by ten ostatni wezwał zebranych do rozejścia. Młodzież zażądała od rektora wycofania sprawy z prokuratorji. Witkowski solennie obiecał zadośćuczynić prośbie młodzieży. Ak. Jemielewski po raz wtóry się zwrócił do rektora z zapytaniem: A więc panie rektorze, Senat wycofa sprawę z prokuratorji?

Rektor zażądał, by studenci obecni podczas pierwszego wykładu ks. Zimmermana złożyli swe legitymacje Senatowi. Złożono 600 matrykuł. W tym składało dużo jednostek, solidaryzujących się z protestem, a bynajmniej nie przyjmujących osobistego udziału w sprawie. Obrano z łona Senatu komisję dyscyplinarną, która relegowała 3 studentów — i 246 udzieliła nagany z groźbą wydalenia, cofnięcia stypendjów i zwolnienia z opłat wpisowych.

Relegowanymi są Heltmann — za przewodnictwo na wiecu, Jemielewski za interpelację rektora, w której dopatrzono się obrazy, i Baścik za uczestnictwo w zebraniu ludowym, gdzie krytykował postępowanie Senatu. (Ładna ilustracja stosunków konstytucyjnych). 246 udzielono nagany z zagrożeniem wydalenia za to, że odmówili zeznań, nie chcąc oskarżać kolegów i łamać powszechnej solidarności. Chciano więc, by młodzież zajmowała się donosicielstwem. Śliczne zasady propaguje Senat Uniwersytecki! Oburzona wyrokiem młodzież proklamowała strejk. W strejku tym przyjęły udział stowarzyszenia socjalistyczne „Spójnia", „Promień", postępowe „Sekcja Etyczna", narodowo-demokratyczne „Znicz", ludowe, „Czytelnia Akademicka" i stowarzyszenie żydowskie „Haszarach". Należy jednak rozwiać legendę, by żydzi przyjmowali przedtym udział w akcji przeciw Zimmermannowi. Przyłączyli się oni do akcji, w obronie swych kolegów, protestując przeciw represjom, zarządzonym przez Senat.

Proklamowany strejk spotkał się z oporem stowarzyszeń: ultra katolickiej „Sodalicji Marjańskiej", chrześcijańsko demokratycznej, „Polonji" i c. k. ugodowo-narodowego „Zjednoczenia". Był moment, że Zjednoczenie wahało się czy nie przystąpić do strejku, proponując kolegom strejk manifestacyjny. Względy jednak oportunistyczne przeważyły i zjednoczeniowcy stanęli po stronie młodzieży klerykalnej. Z łona „Polonji" sformowano kadry bojówki, które za wszelką cenę postanowiły nie dopuścić do strejku. Pomiędzy ową „Polonją" a ogółem młodzieży doszło do starcia. Senat wezwał policję i wojsko.

Należy przyznać, że jak policja tak i wojsko znalazły się nadzwyczaj poprawnie, zawstydzając swym zachowaniem „Senatorów". Młodzież żądała cofnięcia policji i wojska. Interwencja posła Daszyńskiego u radcy Fedorowicza wywołała cofnięcie policji i wojska, poczem młodzież spokojnie rozeszła się do domów. Wykłady na mocy rozporządzenia ministra oświaty zostały zawieszone. Oto krótki opis wypadków na Uniwersytecie Krakowskim. W tych wypadkach należy surowo potępić zachowanie się członków Senatu, którzy miast prawdziwej wiedzy, wnoszą do Uniwersytetu nietolerancję partyjną i zemstę osobistą.

Eydziatt.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Kiedy hr. von Aehrenthal wślad za swym kolegą francuskim czyni bardzo optymistyczne i pojednawcze relacje na temat stosunków międzynarodowych, jednocześnie mnożą się poszlaki wręcz odmiennego rodzaju i we wszystkich kretowiskach politycznych trwa wytężona, choć dyskretna praca. Ważniejsze organy opinji, mając mniej powodów do dyplomatycznych przemilczeń, często sygnalizują w ostatnich czasach przebieg tej niepokojącej krzątaniny.

Daily Telegraph sprawił Trójporozumieniu pogrzeb pierwszej klasy i poświęcił nieboszczykowi kilka ciepłych wspomnień. P. Dillon, który będąc w Peters-

AUGUST STRINDBERG.

LUDWIK XI.

W r. 1483, w roku urodzenia Lutra, doktór Coctier, siedząc w swym laboratorjum w Paryżu, rozmawiał z pewnym podróżującym adeptem. [1]) Laboratorjum znajdowało się w tym samym budynku, gdzie i obserwatorjum, w dzielnicy miasta, zwanej Marais, mniej więcej tam, gdzie obecnie znajduje się Place des Vosges lub Place Royale, a więc w tym samym obrębie, gdzie stała Bastylja, wspaniały Hôtel de Saint-Paul i przepyszne Des Tournelles, które służyły za rezydencję królewską przed Luwrem.

Tu się znajdował ów dom, który Ludwik XI podarował doktorowi Coctier, swemu nadwornemu medykowi i kanclerzowi. Dom ten stał w parku—labiryncie, zwanym Jardin Daedalus.

Doktór mówił do adepta:

— Już Plato w swym „Tymeuszu" mówi o złocie, jako o najzwartszej i najsubtelniejszej materji, przenikającej kamień. Odmiana jego, mająca barwę czarną, — to żelazo. Lecz ciało najbliższe złota, to miedź, zawierająca w sobie niewielką ilość zielonej ziemi i składająca się z błyszczących zastygłych jestestw. Otóż — zachodzi pytanie, dlaczego nie można uwolnić miedzi od zielonej ziemi i przekształcić jej na złoto?

— To rzecz możliwa — odrzekł adept — przy pomocy Atramentum czyli Lapis philosophorum.

— Cóż to takiego?

— Atramentarius lapis to siarkan żelaza...

— Ventre-saint-gris, oto żelazo Platona! Teraz mi się wszystko wyjaśniło! Od kogoś się pan o tym dowiedział?

— Dowiedziałem się o tym od najsłynniejszego maga naszych czasów w Witemberdze, doktora Fausta, który uczył się magji w Krakowie.

— Tak, więc on istnieje?! Opowiadaj pan dalej.

— Człowiek ten naśladował wszystkie cuda, jakie był robił Chrystus; podejmował się odszukać zaginione komedje Plauta i Terencjusza; jego genjusz mógł ogarnąć to, co jest tam w górze, i przeniknąć to, co się kryje tu w dole.

[1]) Alchemicy średniowieczni nazywali adeptem tego, kto, według ich przekonania, znalazł kamień filozoficzny.

burgu czuł niemal w dłoni gasnący jego puls, stawia następującą spóźnioną diagnozę:

„Trójporozumienie nigdy nie było dość trwałym. Specjalne warunki umożliwiły po wojnie mandżurskiej współdziałanie W. Brytanji, Rosji i Francji; dwaj mężowie stanu przyłożyli do tego rękę. Lecz warunki się rychło zmieniły. Jeden z tych mężów stanu, król Edward VII,umarł, a drugi, p. Izwolski, musiał ustąpić. Porozumienie kruszyło się oddawna, ale możność odrodzenia nie była wykluczona.

Podstawą całej kombinacji były jej środki wojskowe i jej finanse, oraz gotowość zastosowania rzeczonych sił lądowych i morskich w razie potrzeby gwoli osiągnięcia pewnych zasadniczych celów. Innymi słowy — Trójporozumienie gotowe było do walki. Jego rzekoma czy rzeczywista intencja dobycia broni odniosła zwycięstwo dyplomatyczne w Algeciras. Zaś brak decyzji i gotowości wojennej w okresie zajścia pomiędzy p. Izwolskim a hr. Aehrenthalem w r. 1908—1909 — był przyczyną jej klęski". Winę porażki zwala p. Dillon na pojednawcze usposobienie Rosji, zaskoczonej energją austro-niemieckiego bloku, poczem dochodzi do następujących wniosków.

— Gdyby znów Trójporozumienie zechciało oprzeć się koalicji austro-niemieckiej, jak to miało miejsce w Algeciras, Rosja, będąca jego częścią, musiałaby liczyć się z obecną decyzją (mowa o układach poczdamskich).

Taka bowiem jest logika rzeczy, która kładzie kres Trójporozumieniu".

Lecz ta sama logika rzeczy — co p. Dillon wolał przemilczeć—kładzie zarazem kres przymierzu rosyjsko-francuskiemu. Z chwilą zniesienia rosyjskiego pogotowia wojennego na granicy zachodniej, w związku z ostatnim paktem w Poczdamie, wartość tego przymierza, wątpliwa zresztą od r. 1905, staje się minimalną. Dyplomaci francuscy obchodzą milczeniem ten fakt wielce drażliwy, ale niecierpliwsi od nich jenerałowie Brun i Bonnal wypowiedzieli swój pogląd na tę sprawę z dosadną szczerością. Jen. Bonnal w sensacyjnym wywiadzie na łamach *Paris Journal*'u wyraził się wręcz, że „Rosja nie chce już wcale wojny, a nawet gdyby chciała, nie mogłaby znieść jej ciężaru. Przymierze rosyjsko-fruncuskie przestało istnieć. A gdyby przyszło do wojny pomiędzy Francją a Niemcami, cały ciężar tej wojny Francja sama musiałaby ponieść".

W świetle powyższych rewelacji i w związku ze sprawą obwarowania Flesyngi, w zasadzie postanowioną przez władze helenderskie, zarysowuje się bardzo wyraźnie niemiecki plan strategiczny. Wierni klasycznej metodzie oskrzydleń, wypróbowanej w roku 1870-ym a ostatnio stosowanej przez jenerałów japońskich we wszystkich bez wyjątku bitwach, stratedzy niemieccy musieliby w pierwszej zaraz linji rozwinąć 1,250,000 ludzi połączonej armji austro-germańskiej na przestrzeni 400 kilometrów. Otóż granica niemiecko-francuska jest do tego za ciasna. Nadto potężne twierdze Belfort, Epinal, Toul i Verdun czynią ów podstawowy niemiecki manewr oskrzydlający wręcz niemożliwym. Jedno z dwojga zatym: albo sztab jeneralny niemiecki zaniecha metody *quasi*-klasycznej, którą piastuje od pół wieku, albo też wkroczy ne terytorjum Holandji i Belgji, skąd za jednym zamachem oskrzydli francuski front wojenny i przetnie kontakt Francuzów z posiłkową armją angielską.

Obwarowanie Flesyngi potrzebne było Niemcom aby trzymać Anglików w szachu i niepozwolić ubiec się z ich strony szybkim wysadzeniem na ląd kilku dywizji piechoty. Od strony zaś niemieckiej jest Holandja, jak wiadomo, zupełnie dostępna. Omawiając sprawę Flesyngi — *Neue Freie Presse* dochodzi do następujących wniosków. „Z chwilą zamknięcia ujścia rzeki Escaut przez fortyfikacje Flesyngi, współdziałanie anglo-francuskie będzie bardzo utrudnione i wartość wojskowa takiego przymierza zredukowana zostanie w znacznym stopniu. Niemcy natomiast będą zupełnie wolne od troski zabezpieczenia się od strony Holandji i Belgji, co — dodaje nie bez perfidji wiedeński organ — ułatwi utrzymanie neutralności tych krajów".

Aluzja uczyniona w tych słowach do możliwości konwencji wojskowej pomiędzy Anglją i Francją nie jest pozbawiona podstawy. W obecnych warunkach dziwić by się raczej należało, gdyby takie przymierze tajne dotąd nie było zawarte. Tu i owdzie krążą na ten temat pogłoski i domysły, a radykalny organ angielski *Daily News* traktuje owo przymierze, jako pewnik i domaga się jego ratyfikacji przez parlamenty obu krajów.

Dyspozycje niemieckiego sztabu, o których była mowa powyżej, pozwalają mniemać, że Berlin dobrze jest poinformowany i zabezpiecza się z tej strony od możliwych niespodzianek. Nie jest jednak rzeczą wyłączoną, że politycy angielscy i francuscy trzymają jeszcze w zanadrzu inną serję siurpryzów, które będą odwetem za Poczdam, a które dotyczą Włoch, nominalnego członka trójprzymierza i największego wroga Austrji.

— Czy nie wynalazł on eliksiru życiowego?

— Ależ odkąd złoto może się rozpuszczać...

— Jeśli złoto może się rozpuszczać, więc posiada części składowe? Mów że pan?

— Złoto rozpuszcza się łatwo w oleju koperwasowym, amoniaku i saletrze...

— Co ja słyszę!

Doktór zerwał się. Było mu gorąco od rozpalonego pieca laboratorjum.

— Chodźmy się przejść — rzekł. — Lecz przedtym muszę zapisać tę receptę, bo inaczej wszystko mi się w głowie pomiesza, jak to się zwykle zdarza, kiedy chcę zapamiętać coś bardzo ważnego. Tak więc—olej koperwasowy, amoniak i saletra.

Adept, który się zwał Baltazarem, dopiero teraz spostrzegł, że wydał swą tajemnicę, nic w zamian nie otrzymawszy, a ponieważ nie należał do rzędu ludzi bezinteresownych, więc natychmiast zapragnął powetować to sobie.

— Jak się obecnie czuje nasz pan najmiłościwszy?

Słowa te zdradziły jego tajny zamysł. Doktór Coctier zaczął się mieć na baczności.

„Ty ze swym eliksirem życiowym masz widoki na króla", pomyślał doktór i odparł:

— Król czuje się doskonale.

— Więc tak! A mnie mówiono całkiem co innego!

— To kłamano przed panem.

Nastało milczenie, i każdy z rozmówców starał się odgadnąć myśl drugiego. W tym groźnym milczeniu czuli, jak się w nich zapalała nienawiść wzajemna i zaczynała się już między nimi walka na śmierć i życie.

Doktór Coctier myślał:

Chcesz swym eliksirem przedłużyć życie potwora—króla. Chcesz na tym zbudować swe szczęście, a mnie wtrącić w niedolę. Wiesz, że silny jest ten, kto w swym ręku dzierży życie króla.

I w mgnieniu oka powziął postanowienie, jakie mogło powstać tylko w owe okrutne, surowe czasy.

— Teraz pokażę panu mój Daedalus czyli labirynt — rzekł, wracając do przerwanej rozmowy. — Nic mu podobnego nie było od czasów Minotaurusa na wyspie Krecie.

Labirynt przedstawiał sklepioną aleję z żywopłotem grabowym, wysokości czterech łokci. Gęste gałęzie zakrywały cienką siatkę drucianą, służącą im za oparcie. Aleja z nieprzeniknionymi ścianami wiła się przebiegle i zdawała się nieskończenie długą, dzięki sztucznej perspektywie. Były w niej urządzone osobnego rodzaju drzwi potajemne i galerje pod-

„Liberalizm" biurokratyczny.

Śledząc uważnie reglamentacje prawne wszelkich warunków życia, regulujące stosunek wzajemny różnych grup ludzi i ich interesów, łatwo dostrzeżemy objaw wielce znamienny. Czy to chodzi o zapewnienie pracownikom wypoczynku normalnego, czy o uregulowanie warunków pracy, czy o pewne formy ekonomiczne produkcji, niepożądane dla wielotysięcznych rzesz spożywców, a bardzo korzystne dla znacznej mniejszości t. j. dla wytwórców, zawsze znajdziemy pewne grupy projektodawców prawa po stronie tej mniejszości, broniących „zdrowych" stosunków życia, w imię „wolności".

W ostatnich czasach mieliśmy kilka takich charakterystycznych objawów „liberalizmu", który szczególnie się zaznaczył w sprawie wypoczynku pracowników handlowych, oraz w sprawie walki z syndykatami Baron Tyzenhauzen, znany wróg wszelkich reglamentacji prawnych, objął przewodnictwo komisji, zajętej sprawą zabezpieczenia wypoczynku normalnego pracownikom handlowym (w drugim czytaniu). Zadaniem tej komisji było oczywiście stworzenie możliwie największej liczby „poprawek", tak dalece, ażeby z nich powstał całkiem nowy projekt. Każda poprawka ma na celu obalenie każdego z osobna punktu projektu prawa. Całą tę robotę opozycyjną prasa rosyjska nazwała ironicznie zabezpieczeniem zupełnej swobody, działającej przeciwko wypoczynkowi pod przymusem prawnym.

Jak wiadomo, Duma się wypowiedziała za ustanowieniem zupełnego wypoczynku niedzielnego i świątecznego. Otóż komisja proponuje postawienie handlu świątecznego i niedzielnego w zależności od zapatrywań organów gospodarki miejscowej, które mogą pozwolić lub niepozwolić na ten handel, „stosownie do miejscowych potrzeb i warunków". A więc sprawy te mogą być uregulowane nie na drodze prawodawczej, ale zależeć będą od kupców miejscowych, biorących udział w samorządach miejskich. Zgóry tedy można przewidzieć w czyim interesie byłby regulowany handel świąteczny.

Inna poprawka dąży do ustalenia normy pracy 14-to godzinnej w zakładach handlowych. Komisja proponuje ustanowienie 12-tu godzin handlu w ciągu doby, nie wliczając do tej normy dwugodzinnej przerwy na obiad. Następnie proponuje w niektórych wypadkach 15 godzin handlu na dobę, bez wszelkiej zmiany i bez płacy dodatkowej. Zdaniem komisji, należy raz nareszcie skończyć z „liberalnymi" zakusami projektu rządowego, według którego pracownicy do 17-go roku życia powinni być zwalniani od pracy na trzy godziny w ciągu doby, ażeby mieć czas na szkołę. Kobiety zaś w okresie porodowym powinny być zwalniane na sześć tygodni, z zachowaniem płacy.

„Liberalizm" rządowy, wyrażony w tych warunkach, znalazł nieprzejednanych przeciwników w komisji. Poczyniono jeszcze wiele innych poprawek, zmierzających do usunięcia wszelkich ulg dla pracowników i do zamiany ich na typowe zwierzę robocze, pracujące bez wytchnienia o każdej porze dnia i nocy.

Czy takie poprawki mają szanse urzeczywistnienia? — Niewątpliwie znajdą one poparcie większości Dumy dzisiejszej, walczącej nietylko z „kramołą", ale nawet z „liberalizmem" prawodawczym rządu, w imię „liberalizmu" przedsiębiorców wszelkich, dążących do wolności... wyzysku.

Daje się spostrzegać pewnego rodzaju „libera lizm" także w walce z syndykatami i o syndykaty. To, co było dążeniem rzesz ludności podczas podmuchów wiosny konstytucyjnej — wolności związków, obecnie weszło w czyn i nawet stało się argumentem obrony prawnej w sferach wielkokapitalistycznych. Wolność związków istnieje... w formie syndykatów. Na gruncie walki z nimi rząd zajął pozycję bardzo chwiejną i zresztą nic dziwnego, bo kapitał — to potęga, zwłaszcza gdy kapitał ten na terytorjach Rosji w przemyśle wielkim jest międzynarodowy. Z taką siłą rząd musi się liczyć, tym bardziej, że jest dłużnikiem kapitalistów zagranicznych. W takich warunkach syndykaty na terytorjach Rosji mają bajecznie przyjazny grunt do rozwoju i... bezkarności.

To też ludność, nie oglądając się na rząd i jego opiekę, sama zaczęła mobilizować środki walki z tą zachłanną i groźną formą rozwoju przemysłu wielkokapitalistycznego. Najpierw wypowiedziały wojnę ziemstwa, do czego się przyczyniła działalność syndykatu „Krowla", który zjednoczył większość fabryk, wyrabiających materjał na dachy (w okręgu uralskim), w ciągu dwu lat podniósł ceny na żelazo o 70—80 kop. od puda, co odrazu wpłynęło na znaczne zmniejszenie spożycia. Ziemstwa porozumiały się

---

ziemne. Kto wpadał do tego labiryntu, przekonywał się wkrótce, że zbudowano go nie dla zabawy. Tylko król i doktór Coctier znali tu wszystkie wejścia i wyjścia.

Napatrzywszy się na wodotrysk i posągi, adept Baltazar po upływie pewnego czasu chciał usiąść na ławce dla odpoczynku, podejrzewając zły zamiar przeciw sobie.

— Nie, nie na tej ławce, — powstrzymał go doktór.

I poszli dalej. Lecz teraz doktór przyspieszył kroku i wkrótce gość jego, zupełnie wyczerpany osunął się na pierwszą spotkaną ławkę, oddychając ciężko. Osłabł i w głowie mu się mąciło od ciągłych zawrotów alei.

— Zmęczyłeś mnie — rzekł — śmiertelnie, doktorze.

O nie, — odrzekł doktór — nie jesteś pan tak krótkowieczny. Linja życia na czole pańskim jest długa. Widzę, że się pan urodził pod gwiazdą Jowisza. Tak, prócz tego pan przecie posiada eliksir życiowy i może według woli przedłużyć swe istnienie, nieprawdaż?

Adept zauważył, że po twarzy doktora przemknął uśmiech złowieszczy. Przeczuwając coś niedobrego, chciał się zerwać, lecz boki ławki zwarły się i przytwierdziły go do miejsca.

A doktór Coctier tymczasem namacywał prawą nogą coś w piasku. A kiedy odnalazł to, czego szukał, nacisnął na to całym swym ciężarem.

— Żegnaj gadatliwy, zarozumiały młodzieńcze — rzekł. — Chciałeś zagrać w knechta z doktorem Coctier. Oto ja biję twego króla, passe i remise!

Ławka wraz z adeptem znikła pod ziemią. Adept zginął, wpadłszy w pułapkę w kształcie studni.

Zrobiwszy swoje, doktór chciał wyjść z labiryntu, lecz nie mógł odrazu znaleźć drogi; myśli jego były zajęte czym innym: powtarzał sobie w duchu tylko co mu wyjawioną formułę eliksiru, aby jej nie zapomnieć na wypadek, gdyby recepta się zarzuciła: „Olej koperwasowy, amoniak, saletra".

Niespodzianie znalazł się u placyka, gdzie się zbiegało kilka ścieżek, a jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał leżącą na piasku bezwładną masę nieruchomą, podobną do dużego, płowego psa, „Nie pierwszy to już pies wpada do tej matni" pomyślał doktór i podszedł bliżej. Lecz kiedy rudawa masa poruszyła się, ujrzał, że był to człowiek w podartej odzieży.

— Król!

Był to Ludwik XI w ostatnim roku swego życia.

(D. N.)

z sobą i weszły w układy z przedsiębiorstwami nie należącymi do syndykatu. Akcja ta wszakże nie wywołała żadnego wrażenia śród zjednoczonych fabrykantów. Przeciwnie — potraktowali oni ją lekceważąco. Dowodzili, że ziemstwa nie posiadają ani kapitałów odpowiednich, ani techniki, ani doświadczenia, że zatym akcja ich nie będzie miała najmniejszego wpływu na rynki, że się skończyć musi ciężkim krachem zuchwalców. Wkrótce jednak zaczęła się chwiać zbyt wielka pewność syndykatu; uderzył więc on w inną strunę. Zaczął biadać, że ziemstwa, bawiące się w „filantropję", rujnują przemysł i robotników, dążą do wywołania klęski ekonomicznej i nędzy powszechnej.

Ziemstwa jednak pracowały. W ciągu pierwszego roku swojej pracy zakupiły niewiele, zaledwie 860 tysięcy pud. żelaza, ale po cenach znacznie niższych niżeli ceny syndykatu, co odrazu wywarło pewien wpływ na rynki. Z tego powodu syndykat musiał zniżyć ceny i nawet wejść w układy z ziemstwem. W roku ubiegłym ziemstwa miały już półtora miljona pudów żelaza, t. j. dwa razy więcej niż w roku poprzednim i sprzedały teri materjał po cenach znacznie niższych niż poprzednio: po 40 — 50 kop. za pud. Ziemstwa zaczęły nabywać żelazo nietylko w fabrykach uralskich, posługujących się paliwem drzewnym, ale także na południu, gdzie fabryki używają węgla kamiennego Taki stan rzeczy jeszcze bardziej wzmocnił siłę współzawodnictwa ziemstw, walczących ze zmową i wyzyskiem.

O walce z syndykatami zaczęli także myśleć przedstawiciele kolei żelaznych. Niedawno odbył się ich zjazd, na którym postanowiono prosić ministerjum komunikacji, ażeby zechciało poczynić kroki, zmierzające do zabezpieczenia kolei żelaznych od strat, wyrządzonych przez syndykaty i do ochrony wogóle interesów kolei, zagrożonych przez te organizacje przemysłowe.

Przeciwdziałanie jest całkiem naturalne. Dziwić się tylko należy, że jest tak dalece spóźnione. Koleje żelazne bowiem najbardziej są gnębione i wyzyskiwane przez syndykaty: węgiel kamienny, nafta, szyny, wagony, parowozy, są to wszystkie przedmioty, pozostające w rękach syndykatów.

Pomimo to przez długi czas nie przeciwdziałano wcale i wątpić należy, czy obecne zabiegi zjazdu, polegające na odwołaniu się do ministerjum komunikacji będą miały jakiś skutek pożądany. Na tej drodze nic się nie da zrobić, o ile chodzi o zarządzenie środków prawodawczych. Wobec stanowiska, zajętego w tej sprawie przez „liberalizm" biurokratyczny, tolerujący wolność... związków w formie syndykatów przemysłowych, nie można liczyć na ukrócenie owej wolności. Trzeba iść tą drogą, jaką poszły ziemstwa. Zjazd zaznaczył tę potrzebę i przyszedł do wniosku, że koleje żelazne powinny budować własne fabryki, mieć własne kopalnie węgla, powinny same wytwarzać niezbędne dla siebie materjały i przedmioty, powinny nadto nawiązywać stosunki z fabrykantami i przedsiębiorstwami, należącymi do syndykatów.

Wszystko to bardzo piękne. Ale na to mogłyby się zdobyć tylko prywatne przedsiębiorstwa komunikacyjne. Ministerjum komunikacji jest cząstką organów rządowych, a syndykaty mają pośród siebie ową potęgę — kapitały zagraniczne, z którymi musi się liczyć całość, a więc i owa w niej cząstka. Zresztą, czy to jest możliwe, ażeby ministerjum komunikacji, mające kłopot z deficytami kolei, zależne od gospodarki finansowej skarbu, od budżetu, od ciężkiej i skomplikowanej wogóle machiny biurokratycznej, musiało odrazu wyrzucić miljony na urządzenie wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, czyli stworzyć przemysł państwowy. Jeżeli przedstawiciele zjazdu kolejowego wierzą w tę możliwość, to tylko świadczy o ich wielkiej naiwności. Staną im tu na przeszkodzie wszystkie powyższe czynniki, stanie wreszcie ów „liberalizm" biurokratyczny, jednostronny, uznający z konieczności wolność związków kapitalistycznych.

Tylko wielka akcja grup prywatnych, na wzór akcji ziemstw, może na gruncie ekonomicznym walczyć mniej lub więcej skutecznie z syndykatami, o ile takie zrzeszenia spożywców będą także korzystały z dobrodziejstw „liberalizmu" biurokratycznego t. j. o ile również otrzymają wolność związków. Jak wiadomo dotąd nie zawsze się to udaje, bowiem kooperatywy nie cieszą się taką szeroką wolnością zrzeszeń, jak przemysł wielko-kapitalistyczny.

Z. Pietkiewicz

Rzeczywistość czy sen?

(Szkic optymistyczny)

II.

Szara, drobna kooperatywa, niby kopciuszek z bajki znikła nam z przed oczu, wobec świetlanej wizji, jaką postawiła przed nami królewska metamorfoza kopciuszka w bóstwo. Ale wróćmy na chwilę do szczegółów.

— Kooperatywa przyszłości nietylko, że zawładnie całą produkcją i konsumcją kuli ziemskiej, ale, co może jeszcze ważniejsza, przeobrazi do gruntu formę najemnictwa. Każdy z pracowników bowiem, wynajmujący swą pracę kooperatywie w jej instytucjach rolniczych czy przemysłowych, będzie zarazem, (za jednorazowym minimalnym wkładem) jej członkiem, a więc pośrednio swoim własnym pracodawcą. A w takich warunkach, gdy pracownicy będą zarazem pracodawcami, będą mieli możność, za pośrednictwem wybranego przez siebie zarządu, stworzyć sobie pożądane warunki pracy. A więc nietylko czas jej trwania skrócić do możliwego minimum, a płacę podnieść do możliwego maximum, ale ubezpieczyć się hojnie i od choroby, i od nieszczęśliwych wypadków i od starości.

— Będą mogli ująć całe wychowanie młodzieży, uczynić je obowiązkowym i bezpłatnym i t. d. słowem wprowadzić w życie najdalsze nawet" marzenia dnia dzisiejszego.

— Cudowna bajka o trzech robotnikach, którą zacytowałam wyżej jest wprost historją powstania jednej z kolosalnych obecnie kooperatyw francuskich, zwanej La Moissonneuse (Żniwiarka) jej członkowie bowiem, niby żniwiarze, cały zysk koszą dla siebie.

— Chociaż pisząc ten krótki szkic postanowiłam z góry nie podawać żadnych danych statystycznych, nie jest to bowiem streszczenie historji kooperatyw, lecz tylko na ich cześć okrzyk zachwytu, jednak nie mogę się powstrzymać od zacytowania paru cyfr.

— Wiemy wszyscy iż cyfry nie zawsze są rzeczą zimną i bezduszną... Cyfry mają duszę, mogą łkać, i mogą świecić jak gwiazdy!

— Jeżeli powiem: w Paryżu jest przeszło 100.000 prostytutek, czyż nie słychać łkania w tej cyfrze?

— Niemcy posiadają przeszło miljon zrzeszonych kooperatystów, a Anglja blizko półtrzecia miljona, a wraz z rodzinami 10 miljonów — czy ta cyfra nie płonie jak gwiazda?

— Anglja najwyżej na świecie stoi pod względem rozwoju kooperatyw, bo też jest ich kolebką. (Pierwsze stowarzyszenie spożywcze zawiązano w Rochdale). W Szwajcarji i Anglji wszystkie kooperatywy spożywcze już są złączone w jeden związek, obracający nie miljonami lecz miljardami i tworzący istne państwo w państwie. Nawet urzeczywistnienie szczytu marzeń w tym kierunku już zostało zapoczątkowane, ponieważ kooperatywy kilku najkulturalniejszych państw połączyły się i utworzyły Międzynarodowy Związek Współdzielczy. Obecnie wydał on pierwszy swój rocznik,

w którym podaje liczbę stowarzyszonych w Europie, liczbę olśniewającą 16 miljonów, zorganizowanych w blizko 100.000 towarzystw! (W tym polskich niestety zaledwie sześćset kilkadziesiąt).

— I co najbardziej zdumiewa, co jest najbardziej niepojęte to to, iż wszystkie te cuda spełniły się bez żadnych gwałtownych przewrotów, wojen socjalnych, rewolucji, wywłaszczeń! Zasadnicza zmiana ustroju społecznego przez rozwój kooperatyw, dokonywa się i dokona się zapewne ostatecznie w sposób spokojny, ewolucyjny, za pomocą wykupu przez kooperatywy ziemi i wszelkich innych środków produkcji.

— Do walki z kapitałem prywatnym, potwornym tyranem mas, żyjącym ich znojem i łzami, nie stanie innny tyran: ciemny, ziejący nienawiścią proletorjusz; do walki z kapitałem prywatnym stanie kapitał społeczny, zbiorowy, zrzeszony, i znajdujący się w rękach ludzi uspołecznionych, świadomych swych celów, zrzeszonych pracą dla wspólnego dobra!

— Czytelnicy zarzucić mogą, że w tym niema nic nowego, że oni o tym wszystkim wiedzą od dawna.

— Tak. Lecz są pewne rzeczy znane i uznane, których mimo to nigdy za często powtarzać nie można. Każdy z nas wie, że wódka jest trucizną, a jednak wszystko co się mówi i czyni dla zmniejszenia alkoholizmu — jest objawem dodatnim. Jest nim również, zdaniem moim, każda zachęta do pracy zrzeszonej.

— Ażeby jednak kooperatywa stała się tą nową Ewangelją przyszłości, potrzeba, by przestrzegała niewzruszenie dwuch zasad:

— Primo, by zyski swoje w minimalnej zaledwo części rozdzielała doraźnie między członków, kapitalną ich część obracając na dalszy swój rozwój.

— Secundo, by stała na gruncie absolutnie bez partyjnym.

— Każdy człowiek, bez względu na to czy jest żarliwym katolikiem, ateistą lub mahometaninem — Polakiem lub Portugalczykiem — każdy, czy jest nacjonalistą lub socjalistą — czy wreszcie praerafaelitą, Hotentotem, neoslawistą czy spirytystą — niespotyka przeszkód, by był także oprócz tego kooperatystą. A jeśli ma ochotę agitować na rzecz swej partji, narodowości czy wyznania, niech sobie to czyni szczęśliwie poza obrębem kooperatywy.

W tej zaś ostatniej niech tylko kupuje wszystko co wogóle kupuje kiedykolwiek, a przybliży wcielenie nowej Ewangelji, nie ponosząc przytem żadnych strat, zyskując natomiast liczne korzyści.

— A teraz pytanie: Czy ten obraz promienny niema żadnej ciemnej strony?

— Mają niestety, jak wszystko co ludzkie.

— Ciemna strona wspaniałego obrazu, to walka z kupcami detalicznymi i hurtownymi, których jest przecie legjon. Narazie ci ludzie ucierpią niewątpliwie i będą walczyć z kooperatywą. Jednakże jest to walka podobna do tej, jaką ciemne rzesze ludu w zapadłych kątach Rosji prowadzą z doktorami i sanitarjuszami w czasie epidemji.

— Korpus sanitarny niesie im uzdrowotnienie i zmniejszenie śmiertelności na przyszłość. Lud widzi w nim tylko wroga, który pali jego barłogi, przynosząc mu szkodę na razie.

— I zaledwo najświatlejsi z pośród tłumu połączą swe usiłowania z usiłowaniami lekarzy, by zapewnić sobie i wszystkim wokoło zdrowie i bezpieczeństwo życia.

Tak uczynią również kupcy prywatni, z początku także tylko z pośród nich najświatlejsi, za nimi jednak pójdzie reszta, pójdzie dla tego choćby, że nie będzie mogła wytrzymać przemożnej konkurencji.

— Prywatne swe kapitały, osobiste, rozpaczliwe wysiłki zleją z kooperatywą by istnienie swoje i przyszłych pokoleń oprzeć na podstawach humanitarnych i wszechludzkich! .. *Jadwiga Olszewska.*

Listy z Galicji.

IV.

Akcja Barwińskiego. Podróż metropolity Szeptyckiego do Wiednia.

Od szeregu lat wychodziło pismo rusińskie, wydawane i redagowane przez Barwińskiego, p. t. *Rusłan.* Barwiński był twórcą chwilowej ugody polsko-rusińskiej za czasów namiestnictwa hr. Kazimierza Badeniego. Posiada on niewątpliwie pewne zasługi, których mu Rusini nie powinni odmawiać. Bądź co bądź ugoda, wspomniana wyżej, dała w rezultacie kilka gimnazjów rusińskich i katedr w uniwersytecie. Ruch narodowy rusiński rozwinął się jednak drogą naturalną i sama owa ugoda nie mogła mu wystarczyć. Barwiński począł coraz więcej tracić wpływ, wreszcie został zupełnie odosobniony. Pismo, które wydaje od lat wielu, nie ma zupełnie prenumeratorów, jest konserwatywne i klerykalne i nie ma żadnego określonego programu. Hasło ugody polsko-rusińskiej jest niezawodnie żywotne, musi jednak opierać się na pewnych warunkach, innymi słowy, musi mieć program.

Od Nowego Roku pismo *Rusłan* zostało zwiększone i akcja Barwińskiego ożywiła się znacznie. Przypuszczają powszechnie, że jest to wynikiem porozumienia się namiestnika dr Bobrzyńskiego z Barwińskim. Niema w tym nic dziwnego, że namiestnik pragnie uspokojenia w kraju i ugody polsko-rusińskiej; szkoda tylko, że do celu tego obrał drogę nieodpowiednią. Istotnie, chcąc przeprowadzić porozumienie się dwu narodów w Galicji, nie można go osiągnąć za pomocą jednostronnej akcji. Dr. Bobrzyński powinien wpłynąć również i na pewne sfery polskie w kierunku ugodowym, czego niestety nie widzimy. *Gazeta Wieczorna*, nowo powstałe pismo demokratów bezprzymiotnikowych, mających kontakt z namiestnikiem, mogłoby podjąć akcję ugodową wobec Rusinów, tymczasem niestety nietylko tego nie robi, lecz zamieszcza artykuły, wrogie wszelkiemu porozumieniu się z Rusinami.

Pismo to napadło niedawno na vice-prezydenta miasta dr. Aszkenazego, b. dobrego Polaka, którego postępowi Polacy, żydzi i Rusini wybrali na prezesa Izby adwokackiej we Lwowie, wbrew narodowo-demokratycznemu kandydatowi. Pismo to atakuje podczas agitacji [1]) przedwyborczej do Rady miejskiej klub reformy gospodarki miejskiej.

Wracając do Barwińskiego i jego pisma, oraz do polityki dr. Bobrzyńskiego, zauważyć należy, że sama krytyka polityki klubu rusińskiego w *Rusłanie* nie może wystarczyć. Namiestnik, chcąc wytworzyć ugodę obu narodów i zainicjować nowy pojednawczy kierunek wśród Rusinów, powinien był zwrócić się do kogo innego, niż Barwińskiego, który jako klerykał i konserwatysta nie ma wpływu wśród demokracji rusińskiej.

Nowy kierunek wśród Rusinów może powstać tylko przy udziale osób popularnych postępowych i wyznających zasady szczerze demokratyczne. Do takich osób jednak namiestnik się nie chciał widocznie zwracać.

Arcybiskup Andrzej hr. Szeptycki bawił w Wiedniu, jak powszechnie przypuszczają, w celach politycznych. Prawdopodobnie starał się sferom decydującym przedstawić konieczność ugody polsko rusińskiej i ustępstw na rzecz Rusinów.

Arcybiskup Szeptycki jest postacią bardzo wybitną. Wykształcony, jak na duchownego, dość postępowy, jest on nader czynny i ofiarny. Kilka miesięcy spędził w Ameryce; dużo środków poświęca na cele kulturalne rusińskie. Pochodzi ze starej rodziny

[1]) O agitacji tej wspomnę w oddzielnej korespondencji.

rusińskiej, która się później zupełnie spolszczyła, po matce jest krewnym naszego Fredry.

Sam żył się z ruchem rusińskim, któremu szczerze sprzyja. Nie sądzę, aby był wrogiem Polaków, jak to głoszą narodowi demokraci; ugoda, którą chce przeprowadzić, wyszłaby na korzyść stron obu.

Pan Nowicki, korespondent *Słowa Polskiego* z Wiednia i polityczny analfabeta, usiłował wykazać w jednym artykule, umieszczonym i w prasie warszawskiej, że akcja arcybiskupa Szeptyckiego nie może mieć żadnego powodzenia, ponieważ nie będzie mógł do spraw polsko-rusińskich wciągnąć Korony, która osobiście się nie angażuje. Pogląd ten sprzeczny jest z faktami. W Austrji cesarz bardzo często interwenjuje osobiście, dość wspomnieć reformę wyborczą do parlamentu.

P. Nowicki twierdził też błędnie, że gdyby metropolita Szeptycki chciał omawiać z prezesem ministrów sprawy galicyjskie, to musiałby to robić w obecności ministrów Głąbińskiego i Zaleskiego. I to jest także nieprawdą. Niema bowiem żadnego prawa, ani zwyczaju, któreby nakazywało prezesowi ministrów konferować z różnymi osobistościami tylko wobec wszystkich ministrów, albo nawet tylko ministrów rodaków.

Nie wiem, czy arcybiskup Szeptycki uzyskał jakie obietnice w Wiedniu, czy nie, to tylko jest pewnym, że bez interwencji rządu centralnego, albo Korony, sprawa uregulowania stosunków polsko-rusińskich nie posunie się naprzód.

Faktem jest także, że obecnie sfery wiedeńskie nie są zadowolone z Koła polskiego, i że nie jest wykluczone, iż zdobędą się na jakiś krok w sprawie stosunków polsko-rusińskich. Przedewszystkim należałoby uregulować sprawę uniwersytetu rusińskiego.

Arcybiskup Szeptycki złożył godność wice-marszałka Sejmu. Zastępował on marszałka Badeniego w przewodniczeniu obradom sejmowym, nie zaś w zarządzie sprawami wydziału krajowego. Rezygnację tę należy uważać za zapowiedź ponownych walk w Sejmie, od czynnego udziału w których arcybiskup chce się usunąć.

Ludwik Kulczycki.

BADANIA NAUKOWE.

Nowa praca Ign. Radlińskiego.

Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie w polskich przeróbkach. Warszawa, 1911.

Współczesne nauki orjentalne, opierając się na materjale wykopaliskowym, na bogatych świadectwach mitologji porównawczej, na symbolistyce astralnej, na analizie tworzenia się i nawarstwiania podań i tradycji w środowisku pierwotnym,—rzuciły w głąb dziejową jasne i żywe światło na tajemniczą genezę religji. Rozbijając twardą skorupę dogmatów, za pomocą których systematy religijne usiłują osłonić wnętrze swych procesów rozwojowych przed badawczym okiem nauki, orjentalistyka sięgnęła, po przez nieruchomo spiętrzone mury skamienielin obrzędowo-instytucjonalnych, do żywego tętna twórczości religijnej, odsłaniając jej źródła i czynniki rozwoju.

Rozumienie początków chrześcijaństwa w świetle badań nowych uległo, w ciągu ostatnich lat kilkunastu, głębokim przeobrażeniom. Postać Jezusa, wraz z potęgą jego indywidualności i mistyczną chwałą boskiego genjuszu, dokoła życia jego rozpiętą, powoli rozpłynęła się w potędze moralno-społecznego ruchu, jaki ogarnął Wschód świata starożytnego przed dwoma tysiącami lat. Osobowość i historyczność Jezusa z taką wyrazistością zasuggerowana Europie przez teksty Ewangelji, poczęła wyrazistą konkretność swą tracić z chwilą, gdy obok Ewangelji wyświetlono i oceniono doniosłość innych dokumentów, niezaprzeczenie z tej samej epoki pochodzących, dających jej ideałom wyraz pokrewny, wielorako zmienny, nieograniczenie i dowolnie twórczy. Ewangelje, rozpatrywane na tle pokrewnych sobie utworów, przedstawiać się muszą, raczej, jako obrazy zbiorowych tęsknot i aspiracji owoczesnych uciśnionych żywiołów ludzkości, niż jako odbicie rzeczywistego epizodu historji. Świetlana wizja boga-odkupiciela była punktem ideowym u kresu ludzkich dróg marzenia; była ogniskiem, w którym krzyżowały się i przecinały ze sobą wszystkie miljonowe westnienia krzywdy, skargi ujarzmionych, żale i tęsknoty ludów, aż nagle w jednym zogniwione punkcie, rozpłonęły widzialnym blaskiem aby oświetlić mrok niedoli.

Epoka Juljusza Cezara i Augusta, Tyberjusza i Nerona była złotym okresem piśmiennictwa rzymskiego; na szczytach oświecenia błyszczały świetne imiona Lukrecjuszów, Cyceronów, Horacych, Tacytów i Petronjuszów; wykwintność smaku, subtelność myślenia, estetyzm odczuć rzadkich i pielęgnowanych, święciły tryumf w filozofji, w literaturze i w sztuce. Atoli jednocześnie z tą literaturą i filozofją, na szczytach cywilizacji owoczesnej panującą, krzewiła się i rozrastała bujnie w nizinach społecznych twórczość innego rodzaju, twórczość bezimienna, żywiołowa, prosta jak odruch cierpienia, szeroka jak głos miljonów. Kolebką twórczości tej, mającej stać się zaczynem największego w dziejach Europy przewrotu umysłowego — była Judea. Świat Lukrecjuszów i Horacych wyznawał kult rozumu, uwielbiał siłę, pogodę i piękno, dążył do równowagi i harmonji w życiu, głosił zasadę samostarczalności człowieka, nie wierzył w bogów — i szczęście swe budował na ziemi. Świat nizin społecznych, przykuty do jarzma niewoli, ukochał słabość i upośledzenie nędzy, prześwietlił idealizmem cierpienie, wywyższył cnotę pokory i rezygnacji, rządy ludzkie składając w ręku boga — i szczęście swe marząc w niebie. Oba światy te żyły i rozwijały się, nie wiedząc o sobie. Stykały się ze sobą, mijały się tysiąckrotnie na wspólnych gościńcach życia, lecz wzajem nie rozumiały siebie. Nawet wówczat, gdy stawały tuż obok siebie, gdy pozornie mieszały się ze sobą, w rzeczywistości przedzielał je długi szereg wieków, stając między nimi niecofnioną zaporą. Na arenie dziejów zdarzają się takie maskarady idej. Filozofja antyczna, spotykając nadciągającą ze Wschodu falę ideowego fermentu, nie rozpoznała w niej znamion swej najbliższej spadkobierczyni w rządach nad umysłowością Europy; natomiast chrystjanizm, grzebiąc pod gruzami gmach kultury starożytnej, nie przeczuwał, że już po upływie kilku stuleci przesiąknie duchem jej władczej tradycji i, odnawiając majestat imperatorów w idei cezaro-papizmu, pracowicie odkopywać będzie zbutwiałe szczątki jej zabytków, wskrzeszać jej pojęcia, odbudowywać wzgardzone ołtarze.

Piśmiennictwo żydowskie, rozprzestrzeniając się wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego całymi stuleciami przesączało swe wpływy do Grecji i Rzymu. Pomniki starożytniejsze, to jest zbiór zabytków hebrajskich, poznawano w przekładzie na grecki i łaciński język. Utwory późniejsze, współczesne rozkwitowi cesarstwa Rzymskiego — Grecy poznawali we własnym języku, ponieważ, z małymi wyjątkami w nim pisane były przez autorów; Rzymianie zaś w przekładzie na łaciński, wnet po ukazaniu się oryginału, w greckim, czy też hebrajskim, dokonanego.

Treść tych utworów późniejszych, — jak wszystkich celniejszych pomników piśmiennych w dziejach powszechnych, — wiązała się ściśle z biegiem wypad-

ków, dzieje te wytwarzających, przedstawiała, grupowała i objaśniała fakty rzeczywiste, lub za rzeczywiste uchodzące. Pochodzenie ich natomiast było zawsze ukryte, zagadkowe, tajemnicze. Wskutek takiego właśnie pochodzenia, dla utworów tych powstała z greckiego języka nazwa „apokryf" (apokrypto = ukrywam).

Autorom nie chodziło snadź o sławę ani o rozgłos; rozpowszechniając swe ideje, walcząc o zasady i przekonania w swych dziełach, nie przywiązywali do nich swego imienia, pozostawiając osobistość swą, jako autorów, w ukryciu.

Utwór atoli bezimienny,—przenikliwie zastrzega Radliński, — jest jako człowiek bezimienny w życiu: stosunki nawet liczne zawiera, ale przyjaciół, zwolenników nie znajduje, posluchu dla siebie i wiary w siebie nie zdobywa. Aby tedy uchronić dzieła swe od losu człowieka bezimiennego autorowie apokryfów uciekali się do mistyfikacji, przypisując ich twórstwo osobistościom znanym, wsławionym, po części należącym do epoki współczesnej, po części zmarłym dawno, niekiedy zaś nawet postaciom bajecznym, żyjącym tylko w podaniach i wyobraźni ludowej.

„Czerpiąc materjał do swych utworów z życia bieżącego, autorowie apokryfów w trojakim stawali stosunku do ogółu współczesnego sobie" (str. 3 i 4). Jeżeli bieżące wypadki przedstawiali w imieniu osobistości dawno zmarłych, utwory ich przybierały charakter proroczy, wieszczący, gdyż wypadki te wyglądały wówczas, jako przepowiednie. Jeśli zzś wypadki bieżące grupowali dokoła jakiejś jednej osobistości, wybitniejszej nad inne, lub dokoła pewnego znamiennego faktu, wtenczas utwór przybierał formę narracji biograficznej i historycznej. Trzecia wreszcie kategorja, apokryf polemiczny, lub apologetyczny, powstawała wówczas, gdy autor dla zbicia cudzych wywodów wkładał argumenty własne w usta żyjącej współcześnie, znemienitej osoby, mającej w danym zakresie sporu, władzę ostatecznego rozstrzygania.

Utwory apokryficzne, — informuje nas dalej Radliński, — obejmując prawie wszystkie gałęzie umysłowej działalności ludzkiej, dostarczały w okresie przełomu ideowego, w okresie najbardziej ważnym ery naszej, zarówno pokarmu dla ożywionej wyobraźni, jak faktów dla polemiki i dowodów dla twierdzeń.

Gdy chrześcjaństwo, przez pozyskanie sankcji państwowej, odniosło tryumf nad poganizmem, wówczas cykl apokryfów sam z siebie się zawarł; sprawa, którą one przygotowywały — zwyciężyła; nie wymagając już nadal ofiar, przeciwnie, za służbę sobie wierną hojnie płacić zaczęła znaczeniem, honorami i dostojeństwy; literatura apokryficzna z ukrywającej się, tajemniczej, prześladowanej stała się jawną, uznaną i powszechnie obowiązującą: doniosłość społeczna jej spotęgowała się podówczas jeszaze bardziej, wpływ zaś wychowawczy wzmógł się i rozszerzył. Nowe utwory nie powstawały, ale powstałe, biegiem czasu coraz więcej oddalone od swej kolebki, przez co urokiem cudowności coraz silniej owiewane, otrzymywały jakby jeszcze więcej powagi.

Ale tryumf chrześcjaństwa był jednocześnie zapowiedzią rozkładu państwa Rzymskiego.

Na ruinach cywilizacji antycznej rozsiedliły się świeże szczepy celto-germańskie, powołując do życia nowe formacje państw i narodów. Na wschodzie ruszyły się plemiona słowiańskie, dotychczas w życiu historycznym nie biorące udziału. Młode te ludy spieszyły korzystać z nabytków cywilizacyjnych starszych swych braci, a wśród innych i z piśmiennictwa, jako dorobku umysłowego. Ci zaś starsi bracia, przyjąwszy na siebie rolę przewodników na drodze kultury umysłowej, ofiarowali ludom pożądającym oświaty to, do czego sami doszli, na czym sami swój rozwój umysłowy zakończyli — literaturę apokryficzną. Pełna legend naiwnych i proroctw ziszczonych już, lub mających się ziścić niebawem, literatura ta, — zaznacza Radliński, — okazała się bardziej, niż klasyczna, grecko-rzymska, odpowiednią po części dziecinnemu, po części młodocianemu umysłowi ludów, w szranki cywilizacji wstępujących.

Świat wytworzony w apokryfach, aczkolwiek zupełnie obcy tym ludom i nieznany, stał się rychło ich światem własnym, dla nich rzeczywistym i jedynym. Znalazły one w apokryfach proste, jasne, a zwłaszcza uspokajające rozwiązanie wszystkich tych zagadnień, na jakie może się zdobyć umysł nieoświecony i bezkrytyczny; zatrzymały się na nich jako na zasadniczej osnowie twórczości duchowej. Literatura apokryficzna stała się dla ludów europejskich źródłem podań i żywym, niewyczerpanym wątkiem tradycji; stała się ona tkaniną, którą wyobraźnia tych ludów barwiła własnymi wizerunkami i obrazami.

Tą drogą powstawały we wszystkich piśmiennictwach ludów nowożytnych europejskich — literatury apokryficzne, tą drogą powstała też literatura taka — w Polsce. Rzecz prosta, iż apokryfy polskie mogą być tylko mniej lub więcej udatnymi i samodzielnymi przeróbkami judaistyczno-chrześcjańskich; polscy pracownicy na tym polu dokonywali przeróbek swych, bądź bezpośrednio, operując materjałem apoksyfów oryginalnych, bądź też pośrednio, posiłkując się przeróbkami już uskutecznionymi przez Niemców, Włochów, Czechów i Francuzów. Przeróbki te Polacy na swój sposób raz jeszcze przerabiali, albo poprostu naśladowali i tłomaczyli.

Radliński przytacza w dziele swym teksty trzech takich polskich przeróbek apokryficznych, pochodzących z XVI-go wieku.

Pierwsza — Krzysztofa Pussmana — nosi tytuł: „Historja bardzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi". Pewna swoboda w opracowaniu tematu, tudzież liczne odstępstwa od pisma św. ściągały na dziełko to niejednokrotne zarzuty i oskarżenia o herezję, ze strony kościoła, zwłaszcza w XVIII wieku; surowym prześladowaniem drukarzy oraz paleniem samego dziełka wyjaśnić należy ten fakt, że egzemplarz Bibljoteki Kórnickiej, służący za podstawę dla przedruku, jest unikatem defektowym.

Autorstwo drugiego dziełka, p. n. „Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu" znawcy starych druków przypisują Cyprjanowi Bazylikowi, w którego drukarni, w Brześciu Litewskim, się ukazało. Apokryf ten przedstawia rodzaj dramatu, zamiast opisów w wielu wypadkach znajdujemy rozmowy. Rzecz dzieje się w przybytku czartów, w przybutku Boga i pośrednio na ziemi. Czas objęty dramatem sięga poozątku świata i dochodzi do doby powstania utworu. Odtworzenie tej ostatniej dało autorowie szeroką możność czerpania, z wrażeń i doświadczeń osobistych, barw do malowanych przez się scen. Zwłaszcza obyczaje i nałogi kleru katolickiego, w interpretacji autora, uderzają taką siłą wrażenia, przedstawione są tak wyraziście, że musiały być podpatrzone przez autora i schwytane na gorącym uczynku... życia. Oto mamy przed sobą scenę, w której srogi Lucyper rozdaje podwładnym sobie djabłom — role do wykonania. Każdy otrzymuje pewną klasę społeczną na łup zgorszenia, jako teren do propagandy grzechu. Czartowi, imieniem Kierdos, z polecenia Lucypera, przypada w udziale duchowieństwo. Najstarszy władca piekieł, wysyłając ducha chciwości i pożądania na podboj dusz księżych, taką obdarza go przestrogą i wskazówką: „Pójdziesz, Kierdosie, do księży tak pogańskich, żydowskich, jako chrześcijańskich ze swoją wszystką rolą, opowiadając im moc naszą. Czyńcie strachy i dziwy w kościołach, iż nam wosków nastawiają... Kapłany napójcie *letheo poculo*, aby więcej pijali, niż czytali, zwłaszcza tych, co żon nie mają, bo to nasi młodzieńcy. Pozwalajcie im kucharek młodych, jako prawym celibatom, bo białej komży, białej

głowy trzeba. Bywajcie też radami starszych, a pozwalajcie im tego wszystkiego, co się nam podoba... Przywódźcie je też do tego, aby te heretyki palili, którzy teraz powstali ku naszej wielkiej szkodzie, jako są: Hus, Luter, Kalwin. Ci przyprawili lud chrześcijański, iż się wszyscy jęli czytać pisma bożego... Dodawajcie swoim nauki w gadaniu, zwłaszcza sofistyki, która glozuje i nicuje ewangelję, aby temu koniec nigdy nie był dla sporów w gadaniu..."

Spozierając wokół siebie — dodaje w końcu tekstu tej przeróbki Radliński, — przyznać musimy, że czarci, jak ich przedstawia nasz psycholog z XVI-go wieku, wybornymi są znawcami słabostek i ułomności ludzkich.

Trzeci z apokryfów polskich nosi tytuł: Mikołaja z Wilkowiecka — „Historja o Chwalebnym Zmartchwychwstaniu Pańskim". Jest to udramatyzowane opowiadanie na tle wątka, zaczerpniętego z Ewangelji Nikodema. Zestawiając atoli polską przeróbkę z tekstem wzoru, nie możemy odmówić autorowi żywej pomysłowości i samodzielnej tężyzny w traktowaniu tematu. Szczery i swobodny humor, tryskający z obrazów ciętych i satyrycznych, jest oryginalnym żywiołem, wprowadzonym przez Polaka do tematów z natury swej uroczystych, wzniosłych i poważnych. Dowcipy ostre i dosadne, uwagi i przycinki, może niekiedy zbyt rubaszne, rozsiane po utworze, znamionują umysł pogodny, temperament bujny i mocne zaufanie w sobie. Swiadczą one o odchyleniu się pionu chrześcijaństwa od pierwotnej idealizacji cierpienia, samoudręki i męczeństwa w stronę klasycznych ideałów pełni i potęgi życia.

Wszystkie trzy Apokryfy są przyczynkiem zarówno ważnym dla charakterystyki dróg ideowych, na których realizowała się myśl chrześcijańska w świadomości ludów europejskich, jak i dla etnologji, dla folkloru, a przedewszystkim dla historji literatury polskiej. Są one jakoby pierwszą zorzą ruchu umysłowego, z której narodzić się miało bujne światło piśmiennictwa kalwińskiego i arjańskiego. Do poznania tych ostatnich wydane i objaśnione przez Rablińskiego Apokryfy są doskonałym wstępem, przygotowaniem i jednocześnie — stać się winny gorącą zachętą. „Pamiętać bowiem musimy — tymi słowy kończy Radliński swe cenne wydawnictwo, — że właściwie to te ostatnie, piśmiennictwa kalwińskie i arjańskie, stanowią ów wychwalany, którym się tak, i słusznie, szczycimy, w i e k z ł o t y literatury naszej".

St. Romanowski.

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Iza Moszczeńska: **Postęp na rozdrożu.** Warszawa 1911, skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł). Str. 103.

Taki — zbyt może jaskrawy tytuł — umieściła p. Iza Moszczeńska na okładce sporej broszury, całkowicie niemal poświęconej rozbiorowi kwestji żydowskiej z punktu widzenia t. zw. postępowego antysemityzmu. Wszystkie znane skądinąd poglądy głośnej publicystki są tu zwięźle ujęte i skodyfikowane w pięciu rozdziałach o następującej treści: 1) Postępowcy i ich kłopoty. 2) Drogowskazy postępu. 3) Masy żydowskie w nowożytnym społeczeństwie. 4) Asymilacja i jej odmiany. 5) Najlepsze rozwiązanie kwestji żydowskiej.

P. Moszczeńska kładzie wyłączny nacisk na rolę, jaką wiednie czy bezwiednie odgrywa mobilizacja żargonowa w obecnym układzie stosunków: „Z zachodu giermanizacja, rusyfikacja ze wschodu posuwa się, jak po wygodnym pomoście, po masach mieszkańców mojżeszowego wyznania w głąb naszego kraju. Toruje jej drogę separatyzm żydowski, prowizorjum żargonowe. W zaborze pruskim przed laty, dzięki temu pomostowi, miasteczka zgiermanizowały się błyskawicznie, a potym zwolna polonizowały się na nowo, w miarę jak masy żydowskie znikały, a wieś odpływem swej normalnej emigracji zalewała miasteczka".

Autorka zastrzega się, że nie żywi bynajmniej wrogich uprzedzeń względem ludności semickiej tego kraju: „stosunek nasz do żydów musi być ściśle zazawarunkowany stosunkiem ich do nas, to jest do naszych spraw, dążeń i celów".

Ten właśnie wyłączny sprawdzian krytyczny daje możność p. Moszczeńskiej wytoczenia przeciw żydom wielu poważnych zarzutów. Zapał, z jakim garną się niektórzy żydzi do polskich zespołów kulturalnych i postępowych, rozbraja ją tylko częściowo:

„Żyd, który zwalcza tylko chrześcijańskie przesądy i zabobony, tylko chrześcijański fanatyzm i klerykalizm, tylko aryjskie pojęcia „szlachetnego" urodzenia i wyższej rasy, tylko aryjską nacjonalistyczną wyłączność, nawet jeśli pozornie współdziała z postępem, nie na jego korzyść pracuje, lecz rozszerza wyłomy, przez które wciska się semicki lud wybrany, z całą falą własnego fanatyzmu i klerykalizmu, ze swą wyłącznością rasową".

Główny zarzut ściąga na siebie rola ekonomiczna żydów w naszym kraju, gdzie tworząc niemal wyłączny monopol drobnego handlu, tamują rozwój ulepszonych form gospodarczych.

„Istotnie — woła autorka na str. 61 — możnaby uwierzyć, że jakaś klątwa ciążąca nad tą rasą skłania ją do upartego imania się takich środków zarobku, które postęp społeczny musi prędzej lub później tępić i usuwać...

Humanitaryzm — powiada w innym miejscu — nakazuje nam współczuć żydom jako ludziom, nakazuje nam zmierzać do *naszych* celów środkami dla nich nieszkodliwymi, ale nie nakazuje nam wcale służyć *ich* celom i z nimi liczyć się więcej niż z własnymi"...

„Najlepsze rozwiązanie kwestji żydowskiej" upatruje p. Moszczeńska „w mocnym i samoistnym postawieniu kwestji polskiej". Bowiem: „bogactwa duchowe, rozkwit myśli badawczej i twórczej pociągnie do nas tych żydów, którzy umieją pokochać wartości idejowe i im wiernie służyć. Silna ekonomiczno — społeczna organizacja przełamie niechęć tych, którzy się przekonają, że niema interesu jej się przeciwstawiać, gdy na współdziałaniu pod każdym względem zyskać można. Wreszcie żywioły zasadniczo ciemne, z przekonania i powołania szkodliwe, nieprzejednane względem nowoczesnej aryjskiej cywilizacji — będą musiały, chroniąc się przed zabójczym dla nich słońcem postępu, emigrować, szukając na powierzchni ziemi takich szczelin, dokąd jeszcze promienie jego nie sięgają" (str. 101).

Oto, w pobieżnym szkicu, bezstronne streszczenie całej zawartości pracy, która jest barwnym odbiciem poglądów redaktora *Myśli Niepodległej*, poglądów, sformułowanych ostatnio z dostateczną siłą, logiką i jędrnością w serji artykułów p. t. *Skład i pochód armji piątego zaboru.*

Broszura p. Moszczeńskiej czyta się łatwo, nazbyt może łatwo, co zresztą leżało w intencji autorki, która zastrzega się na wstępie, że nie pisze „tej przedszkolnej pogawędki" dla posłów i mężów stanu, przeznacza ją bowiem dla tych „którym braknie szkoły politycznej".

Pracy tej nie mamy potrzeby usilnie polecać, bowiem czynią to już pisma zachowawcze i wstecz-

ne, które snadź pod warstwą miłych dla siebie tendencji nie dostrzegły przyczajonych skłonności radykalnych szan. autorki, albo dostrzegłszy, uznały za mało znaczące i stosunkowo niegroźne.

L. G.

Książnica naukowa i artystyczna. *Henryk Ibsen*: **Peer Gynt**, poemat dramatyczny. Przełożyła Marja Kreczowska. Kraków, 1910

Dopiero teraz dzieło wielkiego pisarza norweskiego doczekało się polskiego przekładu. Przekład to nader poprawny, lecz ten poemat dramatyczny „Peer Gynt", zawierający w sobie kamienie węgielne duszy współczesnej, wymagałby jeszcze orginalniejszej, silniejszej interpretacji. Obecna interpretacja posiada jednak dość wdzięku i dokładności, by dać dobre pojęcie o jednym z najwspanialszych dzieł Ibsena.

Tymi kamieniami węgielnymi duszy współczesnej w „Peer Gyncie" są dwa wymagania, które człowiek wobec siebie i świata spełnić powinien. Miano wicie, powinien posiadać własną indywidualność i prawdę wewnętrzną, by nią kierować się w życiu. Człowiek, który podobnie, jak „Peer Gynt", woli zawsze „okrążyć, zobaczyć", który nie dźwignął żadnego ciężaru, który zawsze był wierny hasłu trollów — „poprzestań na sobie" — i wypierał się własnego „ja", przystosowując się do otoczenia, aby mu najlepiej się działo — człowiek taki wart jest tylko przetopienia w tyglu odlewacza guzików. Jest on, jako guzik bez uszka, który się nie udał i powinien być unicestwiony, jako jaźń odrębna, i pójść na materjał do nowych bardziej udanych tworów. Człowiek ten nie może iść ani do nieba, ani do piekła, gdyż i w piekle wymagają, aby grzesznik „był sobą" jakkolwiek w znaczeniu ujemnym. A ten mięczak bez kośćca, przemycający w życiu dbałość o spokój i dobrobyt swojej nędznej osóbki, zrzucający szaty własne i strojący się w cudze łachmany, nie słuchający natchnień ducha — nie ma w sobie nic ani dobrego, ani złego. Jest zbyt nijaki, nie był nigdy sobą. A być sobą, jak mówi Odlewacz, znaczy to:

siebie unicestwić,
Mam ci to jeszcze powiedzieć wyraźniej?
Być sobą znaczy: Wolę Pana nosić,
Jak gdyby tarczę na pancerzu życia.

Peer Gynt nie zdołał przeczuć tej woli Pana i za to poszedłby na wieczne unicestwienie do tygla Odlewacza, gdyby nie miłość Solveig'i, która go zbawi.

Tak, nie wolno zasłaniać się ani niewiedzą prawdy, ani ciężarem jej dźwigania. Nie wolno jej w sobie zatracić, bo znaczy to przestać być sobą. W literaturze wszechświatowej niema prawdziwszego, mocniejszego sformułowania tego, niż u Ibsena. Wielki i szczery jego duch rzucił te ostre, bezwzględne słowa potępienia europejskiemu oportunizmowi, nijakości, nędznemu sobkostwu w walce o byt, słabości, niezdolnej być ani cnotą, ani grzechem i zdobywającej się najwyżej na podłostki. Trzeba być dobrym i złym człowiekiem w wielkim stylu, trzeba być sobą. Z negatywnego odbicia człowieka, posiadającego indywidualność, można zrobić odbicie prawdziwe, lecz z kliszy zatartej nic już nie będzie.

Fantastyczny koloryt „Peer Gynta", jego bogata i łatwa symbolika zwiększają jeszcze urok tej skandynawskiej sagi o duchu ludzkim.

Savitri.

Dr. E. Kiernik: „**Życie w nurtach oceanu**" 1911.

Pewna choć wadliwa i wypaczona ochrona szkolnictwa polskiego i wiedzy polskiej w Galicji, powoduje to, że poważniejsza polska literatura naukowa w dobie bieżącej, już tylko stamtąd jest zasilana. Najniezbędniejsza gałąź tej literatury, jaką jest przyrodoznawstwo teoretyczne i stosowane, pod działaniem wielorakich ujemnych czynników swojskiej kultury, przedstawia się nader nikle. Ostatnie dopiero lata znamionują niejakie ubożuchne ożywienie, pod tym względem pośród nauczycielstwa galicyjskiego. P. p. Augustynowicz, Wyborek, Dr. Kiernik należą do promotorów tego ożywienia, które mało jeszcze odbiega od zupełnej martwoty. Rzecz prosta ma się w tym wypadku do czynienia z opracowaniami kompilacyjnemi wzorowanymi na przebogatej literaturze narodów bardziej oświeconych.

I takie opracowania celowo obmyślone i poprawnie wykonane, mają wielkie znaczenie dla dziejów polskiej umysłowości, zmniejszając jej jałowość. Zastanawiając się nad opracowaniem p. Kiernika wyżej zacytowanym, nie chcemy nikogo doń zrażać. Nie znaczy to, by niemożna było lepiej wykorzystać 186 stronic druku niż to zrobił p. Kiernik. Podkreślenie całego kompleksu czynników biologicznych i ich pochodzenia, jest rozumie się niezbędnym w pracy p. Kiernika, ale technika badań oceanograficznych mogłaby śmiało być pominiętą jak niemniej technika połowów morskich dla celów naukowych. Technika ta jedna i druga nie będąc dość szczegółowo omówioną ażeby nabrać praktycznego znaczenia, zabrała dużo miejsca w książce i nie pozwoliła uwydatnić dużo ważniejszych szczegółów traktowanych przez p. K. zbyt pobieżnie. Za takie szczegóły uważamy te, które unaoczniają w sposób dobitny objawy przystosowania ustrojów do środowiska biologicznego, oraz te, które obrazują walkę o byt pomiędzy ustrojami. Szczegóły tego rodzaju, w które życie jestestw ożywionych w oceanie niepomiernie obfituje, wzbudzają w każdym olśniewające zdumienie, które podnieca umysł, zaciekawia i budzi zachętę do przyswajania wiedzy przyrodniczej. Ta część opracowania p. Kiernika nie kipi życiem w opisie i jest drewnianą, prawdopodobnie tylko dla tego, że p. Kiernik w szczupłych ramach wydawnictwa, ogarnął zawiele tematów.

A. K.

NA DOBIE.

Pogrzeb Wacława Nałkowskiego.

Świecki pogrzeb, bez udziału duchowieństwa, bez żadnych emblematów religijnych — to coś niesłychanego i niewidzianego w Warszawie. Gdzieś, w Europie, w Paryżu — w ten sposób odprowadzają zwłoki Berthelotów do miejsca wiecznego spoczynku, które się nazywa Panteon i nad którego frontem lśni napis „wielkim ludziom — wdzięczna ojczyzna". Ale u nas, — inaczej... Jeżeli nawet stanie się coś pięknego, wstydzimy się mówić o tym. W żadnym piśmie nie zauważyłem wzmianki, że pogrzeb Nałkowskiego był świeckim pogrzebem. Tym bardziej należy to podkreślić. Tylko świecki pogrzeb był odpowiedni dla tej miary człowieka, zupełnie wyzwolonego z wszelkich więzów religijnych. Szlachetnie i odważnie postąpiła rodzina zmarłego, usuwając z obrzędu wszelkie ślady wyznaniowej parafji. Długi sznur uczniów gimnazjalnych, których nauczał zgasły uczony, wyprzedzał trumnę. Zwarty tłum inteligencji wolnościowej wszelkich odcieni szedł wślad za zwłokami. A trumnę samą pokrywały wieńce od szkół i innych instytucji naukowo-

kulturalnych, których zmarły był członkiem i mistrzem. I — zdumiony brakiem choćby tradycyjnego krzyża— przechodzeń musiał sobie mówić w duchu, że rozum ludzki może jednak odbierać publicznie cześć i hołd — bez żadnej aprobaty ze strony kościoła. W tej atmosferze strasznej klerykalizacji, w jakiej żyjemy, pogrzeb Nałkowskiego stał się imponującą manifestacją wolnomyślną, jakoby jeszcze jednym czynem, dokonanym przez zgasłego jeszcze po zgonie...

Na cmentarzu przemawiał Antoni Sujkowski. Uczcił w zgasłym pierwszorzędnej miary uczonego, który żył i pracował w tak niezmiernie uciążliwych warunkach, jak nasze. Uczcił w nim również człowieka niezłomnej woli i kryształowego charakteru, co potrafił ostać się niepowalony, nieskazitelny w tych ohydnych warunkach życia politycznego, które nas wprawdzie nie wynaradawiają, lecz—mimo wszystko— demoralizują. Drugi mówca Janusz Korczak mówił o zgasłym, jako o tytanie ducha. O ileż to było piękniejsze i głębsze niż wszystko to, co mógł w takiej chwili powiedzieć .. ksiądz, opłacony sutym honorarjum!

Zza kulis krakowskich.

Dokoła Wszechnicy Jagiellońskiej rozgorzał bój zacięty; niefortunny piewca „*Mojej baby*" przestał być figurą centralną w zapasach; nikła ta postać nie wiele zwraca uwagi.

Galicyjskie czynniki miarodajne postanowiły skorzystać ze sposobności, aby rozprawić się gruntownie z tą częścią młodzieży, która z Królestwa Polskiego rok rocznie przebywa kordony, aby czerpać naukę z krynicy Jagiellońskiej i pierś rozprężyć do swobododdechu.

Ale ten oddech swobodny płoszy sen z powiek c.-k. ekscelencji i dostojnych Sodalisów, posiwiałych w boju z postępem.

Za jednym tedy zamachem postanowiono łeb urwać hydrze: narzucić młodzieży magistra teologji, a opornych odesłać skąd przyszli.

Obecna faza rozruchów krakowskich jest poprostu próbą gromadnych rugów nazbyt radykalnej i wolnomyślnej młodzieży z Królestwa.

Jeden z dostojników krakowskich, powiedział wręcz współpracownikowi *Prawdy*:

— Dość tego! Przetrawiliśmy z trudem jedno pokolenie waszej emigracji przed 20 laty, kiedy Dmowski i Balicki nieśli tu pochodnie irredenty; drugie takie najście musimy odeprzeć w zarodku.

Szczere i wyraźne!

Smok wawelski dotąd pomrukiwał gniewnie i marszczył się z irytacją na zgiełk młodych, ochoczych głosów; dziś wytacza się z ukrycia, przybrany w gronostaje, ordery i krzyże, by natrętów ukarać i przepędzić.

Gazeta Lwowska, która przy boku namiestnika pełni funkcje *Nowego Wremieni*, wystąpiła z wyraźną w tej mierze enuncjacją; jenocześnie chórem ozwały się gadzinowce, wołając, że trzeba młodzież z Królestwa przepędzić za kordon, inaczej bowiem Kraków zejdzie do poziomu Charkowa, Kijowa, Kazania i Tomska, gdzie zresztą Polakom żadnych specjalnych wstrętów nie czynią.

A najciekawsze, że w tych rugach gorliwy biorą udział pewne pisma tutejsze z *Kurjerem Warszawskim* na czele.

Rzeczony organ podejmując z tak niezwykłą furją kampanję przeciw młodzieży polskiej z Królestwa, zasługuje na wyróżnienie, którego chlubnym nazwać nie podobna.

Zanim groteskowy ten widok we właściwym ukażemy świetle, nie będzie od rzeczy zająć się analogją Krakowa i Tomska, tak pobieżnie nakreśloną przez publicystów *Czasu*.

Analogja istnieje bezsprzecznie; nie jest ona dla władz krakowskich zaszczytna. Kiedy Senat Wszechnicy Krakowskiej drakońskim wyrokiem karał 240 przeszło studentów za udział w obstrukcji antyklerykalnej, jednocześnie doniosły depesze. że w Tomskim Uniwersytecie odbył się wiec, na który przybyła wezwana przez rektora policja i 373 schwytanych na miejscu studentów na drugi dzień relegowano.

Zaiste — wielkie dzielą przestrzenie dwa te uniwersyteckie miasta, ale „duch wschodni", błędnie tropiony w rzeszach naszej młodzieży przez c. k. brytanów i kundlów — ten duch mieszka w prześwietnym Senacie. Kiedy *Czas* i *Głos Narodu* na wyścigi ze *Słowem Polskim* usiłują malować naszą młodzież z postaci rozczochranych bosiaków i nihilistów — możemy uśmiechnąć się na to z pogardą i goryczą, ale możemy również uprzejmie zwrócić uwagę galicyjskim szczwaczom i dojeżdżaczom, że bardzo im jest do twarzy z nahajem w zaciśniętej „narodowej" prawicy i ze świstawką policyjną w zębach.

Jerzy Clemenceau i Ludwik Straszewicz.

Rzecz dziwna i godna zastanowienia, że ten widok nie wszystkim wydaje się szpetnym, a wielu wyraźnie w nim gustuje. Do tych ostatnich należy poczciwy p. Straszewicz, który w *Kurjerze Polskim* taką czyni uwagę:

„W bardzo postępowej Francji, za czasów bardzo postępowego, radykalnego ministerjum Clemenceau, gdy studenci Sorbony próbowali przeszkadzać wykładom, użyto przeciwko nim środków nadzwyczajnie energicznych, bez żadnej ceremonji."

Nadmiar cnót heroicznych skłania p. Straszewicza do częstego mijania się z prawdą.

W trakcie zaburzeń w *quartier latin* w r. 1908 nikogo nie relegowano. Bywały częste uliczne zwady pomiędzy zapalną młodzieżą, a policją, przyczym ostatnia poczynała sobie z brutalnością czysto zawodową, na co poskarżyli się delegaci młodzieży samemu prezesowi rady ministrów.

Premjer przyjął ich z twarzą współczującą i stroskaną: Drogie dzieci — rzekł im dosłownie — wiem, że policja nieco was poturbowała, ale dalibóg, pojmujecie chyba że stójkowi nie są profesorami Uniwersytetu, nie można zatym wymagać od nich subtelności i taktu."

Tak się rzeczy miały w „ bardzo postępowej Francji." A ponieważ Galicja„ bardzo postępową" nie jest, przeto my, polscy wolni myśliciele, wymagamy od krakowskich profesorów *tyle tylko subtelności i taktu, ile miała policja* krakowska — nie więcej.

W pamiętny poniedziałek, gdy Senat wezwał telefonicznie siłę zbrojną do *Collegium Novum*, p. Fedorowicz, naczelnik policji, uszom własnym nie wierząc, zażądał wezwania *na piśmie*, poczym dopiero ruszył pod Uniwersytet.

W obliczu wzburzonej młodzieży zachował się ów poczet policyjny tak spokojnie i taktownie, że tylko dzięki temu uniknięto następstw opłakanych...

Cóż jednak czyni Senat? Skarży się do władz na opieszałość policyi i p. Fedorowicz dostaje... surową naganę.

Sądzimy zupełnie zasadnie, że nie należy na tym poprzestać. Naczelnik policji krakowskiej winien być ze swego miejsca usunięty i zamianowany... rektorem, zaś jego ekscelencja p. Witkowski może natychmiast zająć odpowiedzialny urząd głównego pachołka policji. *The right man in thy right place*.

Jeśli ta przemiana rychło nie nastąpi, tedy możemy być przygotowani na rzeczy wesołe.

Pewnego dnia przyjdzie do Burgu delegacja młodzieży ze skargą na drakoński rygor świetnego Senatu, a dobrotliwy władca powie jej z uśmiechem:

— Cóż chcecie, kochane chłopaki! Pojmujecie chyba doskonale, że od profesorów krakowskich nie można wymagać ani subtelności, ani taktu. *To nie są przecież policjanci...*"

Korespondent w malignie.

Kurjer Warszawski zwrócił powszechną uwagę niebywałą furją swoich napaści na młodzież wolnomyślną, którą wślad za *Czasem* i *Głosem Narodu* pomawia ryczałtem o żydowskość, nihilizm i świadome szkodzenie ojczyźnie, zapominając na razie, że te potwarcze świadectwa wystawia, być może, synom swoich abonentów.

Jeśli ta kampania uwieńczy są pomyślnym skutkiem i kilkaset naszej młodzieży zostanie wyrzuconych za kordon — lwia część zasługi przypaść powinna w udziale *Kurjerkowi Warszawskiemu*. P. Włodzimierz Łada — takie przybrał miano krakowski korespondent *Kurjerka* — w sążnistych swoich relacjach i wywiadach łże i szkaluje z energją, która może wprawiła by nas w zdumienie, gdybyśmy nie wiedzieli, że ów pan Łada nie jest bezstronnym świadkiem wypadków, lecz bierze w nich udział określony.

Odkładając na potym wyjaśnienia co do tej tajemniczej osoby, przytaczamy tu próbkę stylowych refleksji p. Włodzimierza Łady na temat wypadków z ubiegłego tygodnia:

„Kto był świadkiem tych scen, kto zrozumie tryumfy prasy rusińskiej, kto potrafi ocenić wielkość skrytej radości w nieprzyjaznych dziennikach niemieckich, ten dopiero obejmie stopień szkody, jaką nam strajk wyrządza. Starano się odrzeć z powagi najstarszą polską instytucję, wprowadzić dezorganizację w mury zakładu, rozwijającago się świetnie i nadążającego w postępie ku zrównaniu się z najbardziej cywilizowanymi narodami. Wyglądało tak, jak *gdyby chciano dostarczyć naszym wrogom dowodu, że na tym skrawku, na którym mamy autonomję, nie potrafimy się rządzić i sobą kierować.* I to jest może najbardziej przerażające w tej sprawie." (Podkr. nasze).

Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: kretyniczną czelność p. Łady, czy bezwstyd organu, który podobnie zjadliwe brednie zamieszcza bez komentarzy. Toć jasnym jest, że gdyby istotnie obecny strejk uniwersytecki był tym upragnionym przez naszych wrogów „dowodem" niedojrzałości i niedołęztwa galicyjskich mężów stanu — należy corychlej stawić pod pręgierzem *Senat akademicki z rektorem na czele*, bowiem od niego — i tylko od niego — zależało zupełne uspokojenie umysłów i niedopuszczenie do tej *satysfakcji*, której, jak insynuuje p. Łada, *chciano dostarczyć* zewnętrznym naszym wrogom. „Chciano?" Lecz Senat grał tutaj decydującą rolę: kilkakroć zgłaszała się doń delegacja młodzieży, przyrzekając nie czynić nadal wstrętów autorowi *Mojej Baby*, o ile nikt relegowany mi będzie. Senat odpowiedział na to. . relegacją trzech studentów i groźbą relegacji 246 innych...

Więc była to ze strony Senatu świadoma i celowa prowokacja? Tak by należało sądzić na mocy wywiadów p. Łady, który wyraźnie powiada, że „chciano dostarczyć naszym wrogom dowodu... że nie potrafimy się rządzić i sobą kierować".

Jedno z dwojga zatym: albo p. Włodzimierz Łada jest niespełna rozumu i korespondencje w *Kurjerze* traktować należy, jak naiwny bełkot dziecka — albo też odpowiada za to, co pisze; wówczas przytoczony powyżej wyimek przedstawia się nam, jak oskarżenie rzucone w twarz senatowi Wszechnicy Jagiellońskiej — oskarżenie o rozmyślną prowokację. Co do nas, mamy mu za złe niedołęstwo, upór i złą wolę.

Hołubce pani Lewentalowej.

Redakcja *Kurjera Warszawskiego* uważa widocznie p. Ładę za matołka i nie przywiązuje wagi do jego twierdzeń i posądzeń. Zdecydowana bronić Senatu *per fas et nefas* zamieszcza w depeszach z d. 3 lutego następującą wiadomość: „Uchwały wiecu młodzieży radykalnej wywołały tu *przykre wrażenie* z powodu zapowiedzi wysłania deputacji do Wiednia ze skargą na Senat Uniwersytecki". (Podk. nasze).

A więc tak: kiedy Senat skarży się we Wiedniu na zbyt przychylną dla młodzieży postawę policji i zbytnią jej łagodność, dzięki czemu uniknięto przelewu krwi — to nie wywiera to na *Kurjer Warszawski* przykrego wrażenia Ale skoro pokrzywdzona młodzież — po większej części z Królestwa — musi szukać w instancjach obcych sprawiedliwości, której nie znalazła w łonie swojskiego Senatu — wówczas *Kurjerek* pragnie wmówić w nas, że to właśnie wywarło „przykre wrażenie"...

Pani Hortensja Lewentalowa na swój sposób chce te „przykre wrażenia" łagodzić. Bolejąc nad sromotą, jaka spadła na naród polski z tego powodu, że wolnomyślna inicjatywa studentów krakowskich znalazła echo w Pradze, Wiedniu, Grazu, Zagrzebiu i Leoben, *Kurjer Warszawski* ogromowi tej hańby przeciwstawia inny krzepiący i zaszczytny widok i uderza w ton raźnej pobudki artykułem: *Mazur na balu przemysłu domowego we Wiedniu* (Nr. 36).

Nie chcąc uronić jednego wyrazu z cennych natchnień *Kurjerka*, podajemy ten hymn *in extenso*:

„Niespodziewany sukces odnieśli Polacy na balu Związku „Oesterreichische Hausindustrie", który odbył się w Wiedniu d. 31-go z. m. w wielkiej sali Tow. muzycznego, a na którym był „tout Vienne" z kilku członkami rodziny panującej. Prócz innych tańców narodowych, należał do programu także mazur, a tańczyli (!) go prześlicznie i z imponującą werwą panie: Z. hr. Czaky (z domu Niementowska), A. Dzierżanowska, A. Harajewiczówna, J. Haraschinowa, Z. Lewakowska, Kościcka, St. Neutwig i H. Starzewska, oraz pp. Dzierżanowski, Haraschin, Lewakowski, Łepkowski, J. Pochwalski, Trzaskowski, Solański i St. Starzewski (aranżer). Dwór i tłumy towarzystwa wiedeńskiego przyjęli (!) z entuzjazmem ten występ; po każdej niemal figurze grzmiały huczne brawa i słychać było okrzyki gorącego zachwytu. Trzeba podnieść z uznaniem, że to zwycięstwo polskiej gracji i polskiego temperamentu na obcym terenie wiedeńskim zawdzięczać należy przedewszystkim nieocenionej doktorowej Władysławowej Harajewiczowej, która z niemałym trudem i talentem zebrała osiem wprost idealnych par mazura, oraz radcy sekcyjnemu z najdzielniejszych członków komitetu".

Okazuje się, że *Kurjer Warszawski* ma własną metodę polityczną, własny sposób zbawienia Polski, dotąd skromnie tajony — źródło niewyczerpanych dla Polski sukcesów: ten sposób polega na dokładnym i silnym wybijaniu hołubców.

Odkrycie *Kurjera* niewątpliwie podziała, jak objawienie: młodzież porzuci żmudnę walkę z teologją i rutyną i zamiast ujmę kulturze polskiej przynosić podejmowaniem walki o wiedzę niezależną — pocznie wybijać hołubce na „obcym terenie" w obliczu zachwyconych dworów.

By zaś do reszty rozproszyć „przykre wrażenie" wypadków krakowskich, pani Lewentalowa w sali tronowej Burgu wykona taniec brzucha: będzie to walne i ostateczne „zwycięstwo polskiej gracji i polskiego temperamentu."

Ekscelencja w opałach.

Kiedy pewnego dnia J. Ekscelencja Namiestnik odwiedził Uniwersytet lwowski — było to w czasie kampanji, podjętej przez prasę endecką za jego pojednawczy stosunek do Rusinów — wówczas banda młodzieży „wszechpolskiej" przyjęła p. Bobrzyńskiego świstem, obelgami i gradem stęchłych jaj.

Można było przypuszczać, że owo targnięcie się na osobę najwyższego w kraju dostojnika prasa zachowawcza napiętnuje z całą potęgą oburzenia i zażąda srogich kar na winowajców, zwłaszcza ten jej odłam, który z racji dzisiejszych zaburzeń sławi galicyjski lojalizm i potępia zapędy „wschodnich nihilistów” z Królestwa.

Owóż — rzecz dziwna — wybryk młodzieży endeckiej puszczono w niepamięć. Nikogo nie ukarano — o relegacji nie było mowy.

Słowo Polskie, które dziś miota gromy świętobliwego gniewu na sprawców zaburzeń krakowskich— mimo, że żadne świętokradcze jajo nie splamiło sutanny ks. Zimmermanna, *Słowo Polskie*, co żąda wyroku banicji dla setek naszej młodzieży — wówczas nie usiłowało nawet ukryć rzetelnej swojej radości z powodu afrontu, jaki spotkał namiestnika w murach wszechnicy lwowskiej.

Okazuje się, że patrjotyczny, święty gniew lwowskiego organu endecji w pewnych tylko kierunkach znajduje swobodny upust.

Ale co dziwniejsza, przyboczny organ namiestnika, który obecnie grozi wyrzuceniem za kordon wszystkich „przybłędów” z Królestwa, potraktował ten wybryk lwowskich endeków z ojcowskim zaiste pobłażaniem. I nikt nie uczynił tym rycerzom stęchłych jaj zarzutu nietolerancji, dzikości, zwyrodnienia i nihilizmu — nikt nie domagał się wielkim głosem gromadnej ich relegacji — nikt nie węszył w tym zajściu piekielnej intrygi „żywiołów obcych” pozostających na żołdzie śmiertelnych naszych wrogów.

Cały ten kołczan zatrutych strzał zachowano do innego użytku, do lepszej okazji. No i sposobność się trafia. Zjadliwa, trująca ślina bryzga z piór galicyjskich skrobków, zmobilizowane czarne bractwa gorliwie pracują, wytaczając kolubryny fałszu i potwarzy, a chór głupawych warszawskich kurjerków basuje im posłusznie.

Sprawa zaburzeń krakowskich, niezależnie od swoich wyników, jak rzut silnego światła ujawnia polityczną strukturę naszych „szczytów”: i widać, że tam rządzi banda czelnych szalbierzy bezmyślnym i bezkrytycznym tłumem.

Uwieńczone zabiegi.

Z wielkich, świetnych zapowiedzi i obietnic, jakimi olśniła nas na chwilę krótka era wolnościowa, zaledwie drobna, znikomo mała cząsteczka została zrealizowana. A z cząsteczki owej zaledwie kilka atomów przetrwało do dnia dzisiejszego. Względna egzystencja szkół polskich, upośledzona wolność druku, tuzin krzeseł poselskich w Dumie — oto jedyna zdobycz, jaką na terenie naszym pozostawił odpływ fali rewolucyjnej. Zdobycz uboga i niepewna, a jakże drogo, jakże kosztownie, jak krwawo okupiona! Na wywalczenie jednej szkoły ileż przypadło ofiar, ile istnień ludzkich uległo rozbiciu, aby zdobyć możność wypowiedzenia tych myśli, które dziś wypowiadamy swobodnie? Zdawałoby się, że cały naród winien czuwać i strzec tej odrobiny wolności, jaka nam została; wypełniać ją po brzegi żywą i energiczną działalnością; wyzyskiwać każdy cal swobody dla przysporzenia krajowi światła, wiedzy, zamożności, kultury i dobrobytu. Niestety, usiłowaniom narodu staje na przeszkodzie duchowieństwo. Z zajadłą, mściwą zapalczywością staje ono do walki przeciw własnemu społeczeństwu, po stronie najciemniejszych, strasznych potęg reakcji. Nie może ono znieść, aby gdziekolwiek z pęt przemocy porwała się do lotów swobodniejszych zbudzona ze snu myśl polska; czyha tedy na każde śmielsze słowo z ust rodaka, aby natychmiast biec go denuncjować, odwołując się do ramienia władzy państwowej. Podobną taktykę stosuje kler względem szkół polskich, które mu się nie podobają. Pisaliśmy niedawno o zorganizowanym przez księży bojkocie szkoły Kreczmara. Przed dwoma zaś laty podawaliśmy tekst denuncjacji (w oryginale rosyjskim i w przekładzie) arcybiskupa Popiela, w której ów starzec, nad grobem stojący, domaga się zastosowania rygorów kryminalnych przeciw polskiemu badaczowi i uczonemu (p. A. Kurcjuszowi), jako kary należnej za... sumienność myślenia i szczerość słowa. Oskarżony został przez sąd zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności. Mimo to kler nie zaprzestał swych haniebnych zabiegów. Idąc za przykładem starszego kolegi, biskup Zdzitowiecki niebawem wystąpił z podobnym aktem delatorstwa przeciw A. Niemojewskiemu, oskarżając go przed władzą rządową o obrazę religji i... szerzenie anarchji w państwie.

I tu nareszcie zabiegi duchowieństwa uwieńczyły się powodzeniem. Niemojewski, uniewinniony w pierwszej instancji, wskutek protestu prokuratorji powtórnie stając przed sądem, skazany został wyrokiem Warszawskiej Izby Sądowej na rok twierdzy Skazanemu przysługuje prawo odwołania się jeszcze do Senatu z żądaniem kasacji wyroku. Tymczasem jednak kler może tryumfować: udało mu się skonfiskować jeszcze jedną książkę, zgasić jeszcze jedno światełko myśli polskiej, przeoczone przez cenzurę... widocznie nazbyt opieszałą.

Wieczór dyskusyjny w P. Z. P.

We wtorek w lokalu polskiego Zjednoczenia Postępowego odbyło się zebranie dyskusyjne na temat udziału żydów w samorządzie. P. Wacław Łypacewicz w gruntownym referacie bronił tezy równouprawnienia, zbijając zarzuty, wytoczone ostatnio w artykułach *Gazety Warszawskiej*. W dyskusji brali udział: pani Budzyńska-Tylicka i pp. Zubowicz, Życki, Fryze i Turski. O godz. 12 posiedzenie zamknięto.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Prasa kierunków prawicowych nieraz gorszące dawała widowisko; snadź ludzie tam są odarci ze skrupułów, a mózgi pozbawione doszczętnie nerwu rzetelności i prawdy.

Tym razem benefis bezczelnej obłudy wypadł niespodziewanie świetnie. Nigdy jeszcze nie spiętrzono tylu kłamstw, donosów i oszczerstw na tak szczupłej przestrzeni czasu. Oto jeden z dorywczo wybranych przykładów.

Lwowska *Gazeta Narodowa* tymi słowy omawia przebieg zaburzeń:

> Stwierdzono, że w najsmutniejszych zajściach, jakich widownią był uniwersytet Jagielloński w Krakowie, brało czynny udział wiele osób, które wcale nie są akademikami; stwierdzono, że w niemniej smutnych szturmach wczorajszych do gmachu uniwersytetu lwowskiego nie brali wcale udziału studenci tego uniwersytetu. Jest to najlepszym dowodem, że burzycielski i zgubny ruch, jaki, wziąwszy sobie za powód ustanowienie katedry chrześcijańskiej socjologji na teologicznym fakultecie uniwersytetu Jagiellońskiego, rozszalał się najpierw w Krakowie, a następnie rozpalił we Lwowie, nie jest prądem rodzimym, wśród naszej młodzieży powstałym. Wywołany on został przez agitację z zewnątrz młodzieży, przez agitację, prowadzoną z dwuch stron: ze strony żydowskiej, która wyładowywała w ten sposób swoją nienawiść do urządzeń chrześcijańskich, i ze

strony socjalnej demokracji, która korzysta z każdej sposobności do wywołania fermentu i zaburzeń, a w tym wypadku podziela także nienawiść żydowstwa do Kościoła katolickiego.

Co słowo, to fałsz. Do walki z autorem *Mojej Baby* wystąpiły *wyłącznie* polskie organizacje młodzieży, z których jedno (*Znicz*) nosi barwy narodowo-demokratyczne; młodzież natomiast żydowska powstrzymała się od udziału w tej walce. Dopiero, kiedy z powodu represyjnych środków senatu ogłoszono strejk *ogólny* tytułem protestu, przystąpienie obu żydowskich stowarzyszeń akademickich stało się faktem naturalnym, bowiem odtąd sprawa jest ogólno-uniwersytecką, i młodzież nasza, zwracając się o poparcie do młodzieży czeskiej, horwackiej, niemieckiej we Wiednin, Pradze, Zagrzebiu — nie mogła żadną miarą odtrącić aktu solidarności kolegów-żydów.

Łatwo można było przewidzieć, że padalcza i gadzinowa część prasy znajdzie tu pochop do zwalenia całego ruchu na karb intrygi żydowskiej; jakoż tak się stało.

Zarzut pokrewny głosi, że winą wszystkiego były machinacje posła Daszyńskiego i jego politycznych przyjaciół, czego dowodem — obecność pp. Daszyńskiego i Grossa w gmachu Collegii Novi, w poniedziałek zeszłego tygodnia. Tutaj musimy się zastrzedz, że gdyby istotnie miała Wszechnica wpaść z rąk „socjologów chrześciańskich" w ręce trybunów ludowych — pierwsi byśmy się temu sprzeciwili. Katedra uniwersytecka nie powinna być przybudówką kruchty, ale nie może też być „ujeżdżalnią" ani terenem do popisów demagogicznych. Stanowisko nasze w tej sprawie jest jasne.

Atoli zarzut wsteczników jest w tym wypadku bezpodstawny. Pp. Daszyński i Gross spiesząc do gmachu Wszechnicy, otoczonego wojskiem, aby w razie starcia powagą swoją poselską zażegnać fatalne wyniki—spełnili poprawnie i godnie swój obowiązek przedstawicieli narodu. Dzięki taktownej ich interwencji, młodzież rozeszła się spokojnie. Trzeba mieć sporą dozę czelności i złej woli, aby czynić im z tego powodu zarzuty. Czyżby świątobliwi publicyści *Czasu*, *Głosu Narodu*, *Słowa Polskiego* i *Gazety Narodowej* wespół z prześwietnym senatem żałowali, że nie doszło do przelewu krwi na Wszechnicy, czyżby ich irytacja przeciw rozumnym pośrednikom z tego płynęła zródła?

Po tych ludziach wszystkiego można się spodziewać.

Co do nas, nie widzimy nic zdrożnego w obecności dwóch posłów ludowych na zagrożonym miejscu. Dziwimy się nawet, że było ich tak mało. Dlaczego demokratyczni posłowie Krakowa świecili swą nieobecnością w tak ważnej chwili? Gdzie byli członkowie Rady miejskiej? Dezercja nigdy nie jest rzeczą chlubną, a jeśli ci panowie boczą się dziś na swoich kolegów: Daszyńskiego i Grossa za ich popularność wśród młodzieży, to powinni wiedzieć, że *les absents ont toujours tort*.

* *Słowo Polskie* w opisach przebiegu zaburzeń wa Lwowie zdobyło rekord kłamstwa. Gdyby wierzyć doniesieniom organu endecji, rzecznikami strajku byliby rzekomo sami żydzi i rusini. Tymczasem ścisłe liczby, które sprawdziliśmy u źródła, dowodzą, że na 6000 ogółu młodzieży, a na 4000 młodzieży polskiej we Lwowie było *wyraźnie 236 łamistrejków z Czytelni Akademickiej*; tę śmieszną garść *Słowo Polskie* uznało za prawdziwych Polaków, a tamte tysiące—za „inorodców".

Szczegół ciekawy: gdy w lokalu *Czytelni Akademickiej* odbywał się wiec 236 łamistrejków, u wejścia stał przedstawiciel zarządu *Czytelni* w otoczeniu policji i wpuszczał do sali tylko zaufanych. Tym sposobem „uchwały" były jednogłośne, a wiec garści łamistrejków ogłoszono, jako ogólno-studencki.

Miły kraj—*i miłe stosunki*!

* Opinja klerykalna i wsteczna obarcza młodzież wolnomyślną zarzutem *nietolerancji*. Nigdy jeszcze wyraz ten nie był błędniej użyty. *Tolerować* może silny słabszego, ale nigdy odwrotnie. Gdzie stają przeciw siebie dwie tak nierówne siły, jak młodzież i senat akademicki, ubogie peleryny i gronostajowe płaszcze, związki studenckie i cały aparat wojskowo-policyjny—należałoby chyba domagać się tolerancji od zbrojnych we wszechmoc prawa dostojników. Ale dostojnicy zdradzają gniew obrażonych bożków i zajadłość iście średniowieczną. Słusznie pisze z tego powodu *Kultura Polska*:

> Daleko większą sromotą okrywa się senat uniwersytecki, który nie dopuszcza do katedr badaczów, a powierza je agitatorom, niż młodzież, która nawet zuchwale opiera się gwałtowi. Nie od niej powinien wyjść przykład tolerancji, ale od jej przewodników. Jeżeli oni nie chcą dać jej wykładów socjologji naukowej, czemuż żądają jej zgody na wykłady socjologji „chrześcijańskiej", ana hronizmu, pielęgnowanego tylko w seminarjach teologicznych? Całkiem niepotrzebnie i niewłaściwie protektorzy autora „Mojej Baby" rozpięli nad nim baldachim mocnych słów, które do tego celu wcale się nie nadają. Poszanowanie cudzych przekonań, wolność słowa, prawa zwierzchności uniwersyteckiej do wyboru profesorów, te słuszne zasady stają się pustymi i wykrętnymi frazesami, gdy z nich korzysta nadużycie. Młodzież krakowska nie domaga się rządów, przywilejów, wykładów partyjnych, lecz tylko nauki świeckiej, przewodników szczerze tej nauce służących, czyli żąda tego, co jest zadaniem każdego uniwersytetu i dlaczego wstąpiła na Jagielloński.

* Z aktem niebywałego zaprzaństwa i zdrady narodowej (bo inaczej nazwać tego niepodobna!) wystąpiła *Gazeta Lwowska*, urzędowy organ namiestnictwa, w postaci artykułu skierowanego przeciwko młodzieży akademickiej z Królestwa, zmuszonej przez warunki miejscowe szukać wykształcenia na gruncie Galicyjskim.

> Gościnnie i serdecznie — pisze organ c. k. lokajstwa, — otworzyły się podwoje naszych wszechnic na przyjęcie tej młodzieży, która na uniwersytetach rosyjskich nie znajdowała dla siebie odpowiedniego gruntu. Niestety, właśnie wśród tej młodzieży, tak serdecznie przyjętej, znalazło się niemało żywiołów, którym widocznie nie o naukę, lecz o szerzenie fermentu chodziło.
>
> Pomijając wszelkie inne szkodliwe skutki, obawiać się należy, aby ekscesy krakowskie, nie sprowadziły za sobą utrudnień dla młodzieży, przybywającej do nas z uniwersytetów rosyjskich i nie przyniosły dotkliwej krzywdy tym, którzyby nauce sumiennie oddać się pragnęli.

A więc wyszło szydło z worka, — odpowiada na to *Kurjer Poranny* w słusznym i trafnym komentarzu do powyższej odezwy:

> C. k. namiestnictwu i całej biurokracji galicyjskiej chodzi więc o pozbycie się królewiaków, gdyż „ściślejsza" ojczyzna panów Bobrzyńskich i innych „Polaków austryjackich" zagrożona została fermentem postępowym z „obcej" dzielnicy. Więc do tego doszło! Więc nas, królewiaków, c. k. austryjackie zbiorowisko uważa za „obcoplemieńców!" Czy sobie urzędówka galicyjska zdaje z tego sprawę, co napisała? Czy zastanowiło się namiestnictwo z p. Bobrzyńskim na czele, co znaczy taka groźba, zwrócona w kierunku królewiaków? Niema na to wyrazu, w którymby dało się wypowiedzieć oburzenie na tego rodzaju okropność. Z najwyższą chyba tylko pogardą trzeba potraktować głos żółto-czarnej „Gazety Lwowskiej", wymawiającej „serdeczną gościnę" Polakom w Polsce! Takiej sromoty, wykwitłej z parafjańskiego traktowania rzeczy, jakiej rzecznikiem stał się organ namiestnictwa we Lwowie, z pewnością na ziemiach polskich jeszcze nie było. Możnaby to porównać jedynie z występami słynnego Ignacego Milewskiego, ale pomiędzy nim a „Gazetą Lwowską" zachodzi ta różnica, iż p. Milewski wygłasza swoje bezecne „votum separatum" jako jednostka, mówiąca po polsku, tymczasem „Gazeta Lwowska", wychodząca w języku polskim, jest organem zbiorowiska ludzi, mających się za Polaków, na których czele stoi autor „Historji Polski".
>
> Potępił on w niej czyn Radziejowskiego, czyżby w czasie od wydania swego dzieła do otrzymania tytułu „ekscelencji", p. Bobrzyński zmienił zdanie?

* *Kurjer Poranny* (w N-rze 23) poruszył sprawę uniwersytetu warszawskiego z okazji ogłoszenia da-

nych statystycznych, dotyczących wyższej uczelni warszawskiej. Liczbę przypuszczalną Polaków *Kurjer Por.* oblicza na stu. Z ogólnej liczby 1912 studentów tylko 552, jak wiadomo, posiada świadectwa dojrzałości, resztę, t. j. 71 proc. stanowią seminarzyści w liczbie 1360. A i z tej liczby tylko 927 ukończyło całe seminarjum, reszta zaś, t. j. 433 wyszła z czterech klas seminaryjnych.

Wobec obniżenia wymagań kwalifikacyjnych przy przyjmowaniu kandydatów musiało nastąpić — rozumuje *Kur. Por.* — obniżenie naukowego zadania uniwersytetu. Uniwersytet, dostosowując się do poziomu umysłowego owych seminaryjnych czteroklasistów „przestaje być tym, czym być powinien i czym być może, lecz staje się tylko instytucją informującą, w jaki sposób rozwiązać zagadnienie pozyskania dyplomu państwowego bez odpowiedniego naukowego przygotowania". Dla naszego społeczeństwa wobec stosunku procentowego słuchaczów narodowości polskiej rzecz to — zdaniem *Kur. Por.* — mniejszego znaczenia, ale ma ona poważną stronę polityczną.

Oto obwinia się społeczeństwo polskie o tendencyjny bojkot uniwersytetu warszawskiego z pobudek nacjonalistycznych. My jednak ponosimy wszystkie straty i krzywdy, jakie nam ten bojkot zadaje; skazuje on naszą młodzież na emigrację, pozbawia nas normalnego liczebnego wzrostu inteligencji społecznej na placówkach stanowisk najważniejszych w życiu codziennym, — profesorów, prawników, lekarzy, utrudnia wreszcie jeżeli nie uniemożliwia normalną pracę zarobkową całej najlepszej części młodych polskich pokoleń. Zadaje nam więc ciosy tak wrogie, jakich najwymyślniejsze represje nie mogłyby wytworzyć. Zachowawczo ugodowe koła polityczne mają silne argumenty, kiedy wytaczają historji tego bojkotu proces w imię rozsądku trzeźwości i korzyści społecznych.

Istnieje jeden sposób przeciwdziałania agitacji za bojkotem uniwersytetu — twierdzi *Kur. Por.* — jeżeli agitacja taka wogóle istnieje, sposób wprost przeciwny temu, jaki jest obecnie praktykowany.

Sposób ten podlegałby, według prostego logicznego rozumowania, tylko na tym, aby ten uniwersytet rozwinąć i podnieść jakościowo, aby usunąć z niego wszelki ślad polityki i czuwać troskliwie nad tym, aby stał się tylko świątynią czystej wiedzy, aby skupić w nim najlepsze siły naukowe i poziom wykształcenia postawić na równi z najpierwszymi ogniskami nauki zagranicą, i aby wytworzyć nie mechaniczną, ale wewnętrzną konieczność korzystania z tego, co taki uniwersytet dać może. Wtedy dyskusja nad rozważaniem pro i contra kwestji uczęszczania Polaków na taki uniwersytet zyskałaby przynajmniej podstawę inną, niż ta, która płynie z dzisiejszego stanu tego uniwersytetu.

Streszczony powyżej artykuł wywołał dyskusję pod postacią dwóch listów, nadesłanych *Kur. Por.* z pośród studentów uniwersytetu warszawskiego. Jeden z nich pisany przez p. Eugenjusza Karpowicza bardzo lichą polszczyzną, *Kur. Por.* wydrukował jako „pouczający dokument". List solidaryzuje się bez zastrzeżeń z uniwersytetem, oddaje świadectwo jego wysokiemu poziomowi naukowemu i wzywa do zaufania — nawet dla poziomu naukowego studentów-seminarzystów. P. Karpowicz zapewnia, że już obecnie uniwersytet coraz bardziej ogranicza przyjmowanie seminarzystów i twierdzi, że

dalszy postęp zależy od samego społeczeństwa, gdyż jeżeli nasza młodzież gimnazjalna podąży do uniwersytetu warsz., to ten ostatni zmuszony będzie *zaprzestać w przyjmowaniu* seminarzystów. Te same cyfry, *przyprowadzone* (!) przez autora, wskazują na to, że liczba gimnazistów co rok w uniw. warsz. wzrasta, i to jest objaw bardzo radosny. Jeżeli więc społeczeństwo polskie odrzuci swe szowinistyczne i niczym się obecnie nie usprawiedliwiające poglądy na uniwersytecie warsz., to wtedy tylko spodziewać się można, że uniw. warszawski znowu będzie w masie słuchaczy polskim i poziom naukowy studentów — jednostajny gimnazjalny.

Jak stwierdziła redakcja *Kur. Por.*, p. Karpowicz jest studentem wydziału prawnego, wyznania prawosławnego, synem urzędnika.

Drugi list, również ogłoszony drukiem przez *Kur. Por.*, pochodzi od „grupy studentów-Polaków". List, zarzucający artykułowi *Kur. Por.* stronniczość i tendencyjność, prostuje przedewszystkim wiadomość co do liczby studentów-Polaków, podając ją na 153, a z farmaceutami — 220; podziela ubolewania nad upadkim poziomu naukowego w uniwersytecie warszawskim; odpiera energicznie zarzut, że Polacy, uczęszczający do uniwersytetu warszawskiego, mają na celu jedynie patent i zarobki, nie zaś zdobycie wiedzy.

Los tylko chciał, — piszą studenci Polacy, — że nic posiadamy środków na wyjazd chociażby tylko do uniwersytetów w Rosji, nie mówiąc już o zagranicznych, i społeczeństwo nie może żądać od nas poświęcenia całej przyszłości tym bardziej, że zupełnie (z małymi wyjątkami) nie interesuje się, w jakich warunkach materjalnych, rodzinnych i t. p. znajdują się ci Polacy, którzy chodzą do uniwersytetu warszawskiego!

...Kategorycznie odrzucamy wszelkie insynuacje, rzucane na nas i z podniesionym czołem stwierdzamy, że nie brak zrozumienia i uspołecznienia kieruje naszymi krokami, lecz zasada, że uniwersytet warszawski nie może być zapełniony elementem obcym naszej narodowości, elementem, z łona którego wyjdą setki, jeśli nie tysiące i tak licznych wrogów polskości, że wszelkimi siłami dążyć powinniśmy do tego, jeśli uniwersytet warszawski ma być otwarty, by z niego korzystali Polacy. To jest naszym obecnym celem!

...Tak, nad narodem naszym ciąży fatum jakoweś i w zaślepieniu i walce często, bardzo często, zapominamy, jak w danym wypadku, że to, czego nie mogły zrobić lata Murawjewów, Apuchtinów, zrobiliśmy sami: mamy uniwersytet czysto rosyjski w sercu polskiej ziemi!

Kur. Por. przyznaje autorom słuszność tylko co do jednego zarzutu, mianowicie, że społeczeństwo nasze nie interesuje się zabezpieczeniem młodzieży, kończącej szkoły średnie w opłakanych warunkach materjalnych, zbija natomiast względy narodowych i kulturalnych korzyści, którymi studenci pragną osłonić rachuby osobistej karjery. Rzecz wysoce charakterystyczna, że enuncjacja „młodych starców" przypadła do smaku Warszawskiemu *Słowu*. Organ ugodowców odczuł widocznie w duszach tej młodzieży obiecujące na przyszłość zadatki „polityki realnej". Rozrzewniły go zdrowe i jędrne ziarna trzeźwości, umiejącej przystosowywać się do bytu! *Słowo* dopatruje się przyczyn wyjątkowego położenia studentów-Polaków na Uniwersytecie Warszawskim w ogólnym stanie naszego społeczeństwa. Nie gani ich oportunizmu, zato podnosi ich odwagę — „odwagę tych młodych ludzi, którzy z poczuciem odpowiedzialności za własny byt i za rozwój sił narodowych umieją stawić czoło burzy". Dowiadujemy się też z ust *Słowa*, że tak jak autorowie listu, myślą w naszym kraju „setki i tysiące" ludzi; nie wszyscy tylko mają dość odwagi, by to wypowiedzieć.

Notatnik wydawniczy.

Nowa powieść Gustawa Daniłowskiego. Lwowski tygodnik polityczny, społeczny i literacki „Życie" rozpoczyna w zeszycie VI (19) za rok bieżący druk fragmentów z powieści apokryficznej Gustawa Daniłowskiego p. t. „Marja Magdalena".

Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Dwernickiego 11A.

Macierz Polska wydała jako Nr. 58 swej „Biblioteki" *Astronomję* popularną. Autor jej Dr. Marcin Ernst profesor Uniwersytetu Lwowskiego, zdołał pomieścić w niewielkiej książce wszystko, co należy do elementów wiedzy astronomicznej. Wykład jest niezmiernie prosty i zajmujący. W tekście mieszczą się liczne ilustracje uzmysławiające treść wykładu. Całość obejmuje 12 arkuszy druku; cena 1 kor.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.